

Aleksander Świstun
WSPOMNIENIA PODOLSKIE (1)
Moje prywatne sprawy

(Cracovia Leopolis, 2011, nr 1, s:24-32)

Często tak bywa, że gdy czegoś szukamy lub gdy robimy porządki w naszych szpargałach, to przypadkowo trafia w nasze ręce coś, co nas w tym momencie może szczególnie zaciekać. Zapominamy wtedy o poszukiwanej rzeczy, a skupiamy się nad znaleziskiem i jeśli jest to jakaś książka lub nawet tylko luźne kartki zapisanego papieru, to i tak nasza uwaga jest całkowicie pochłonięta, przeważnie do chwili aż to skończymy czytać. Tak też to było w przypadku naszej koleżanki pani Aleksandry Jenner, która po śmierci męża przeprowadziła się do domu swoich rodziców, gdzie w czasie porządkowania biblioteki natrafiła na spisany pamiętnik nieżyjącego już ojca.

W czasie pobytu na XXIV Ogólnopolskim Koleżeńskim Zjeździe Tarnopolan (20–24 czerwca 2010) w Dobczycach dowiedziałem się o istnieniu tego pamiętnika – napisanego przez tarnopolanina, pana Aleksandra Świstunia. Po przeprowadzeniu potrzebnych uzgodnień, wybrane zapisy pamiętnika wraz ze wstępem pani Aleksandry Jenner – córki autora, przekazałem do zamieszczenia w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”.

Henryk Kleinrok

W grudniu 1998 roku, dwa lata po śmierci mego męża Adama Jennera, przeprowadziłam się do Szczawna do domu, w którym od 1950 roku mieszkali moi rodzice. Byliśmy ze wschodnich terenów Polski leżących za Bugiem. Zaczynaliśmy wszystko od początku. Ale mimo to rodzice moi byli tu bardzo szczęśliwi. Zawsze mieli wielu znajomych i przyjaciół oraz utrzymywali bliskie kontakty z rodziną, która po wojnie rozsypana była po całej Polsce. I teraz też obie, tzn. moja matka i ja, cieszymy się, gdy odwiedzają nas bliscy nam ludzie.

Po przeprowadzce, przy porządkowaniu i układaniu książek w bibliotece, natrafiłam na gruby zeszyt, podpisany przez mego ojca z datą 10.12.1956 rok, zatytułowany „Moje prywatne sprawy”. Ojca mego zawsze bardzo kochałam i podziwiałam. Był dla mnie wzorem ojca i męża, był wspaniałym człowiekiem.

Z ogromnym zainteresowaniem, jednym tchem przeczytałam jego zapiski. Przybliżyły mi one jego postać. Ciekawsze opowiadania czytałam wnukom i prawnukom ojca, znajomym i dla wszystkich były one ciekawe i wzruszające.

Aleksandra „Lela” Jenner

Tak sobie czasem myślę, jaka to szkoda, że nasi dziadkowie nie opisywali swoich przeżyć, myśli, że nie zostawili pisemnych pamiętek, abyśmy mogli teraz więcej wiedzieć o ich życiu, o ich miłościach, zawodach, itd. Ale cóż? Żyli – przeszli – po sobie zostawili tylko kilka epizodów ze swego życia, które podawane ustnie z pokolenia na pokolenie przetrwały do moich czasów.

Toteż ja postanowiłem sobie pisać o całej naszej rodzinie, wszystko to, co mi na myśl przyjdzie, tak bez składu i ładu, bez żadnego planu, bez chronologicznego porządku, bez poprawek, brulionów. Toteż nic dziwnego w tym, że będzie w tej pisaninie mnóstwo uchybień stylistycznych, może mylnie przedstawionych niechcąc scen. No, ale trudno – to, co napiszę, to w najlepszej intencji wiernego przedstawienia tego, co przeżyłem lub co usłyszałem od swoich Dziadków, Babek, Wujków i Cioć.



MŁODZIEŃCZE LATA NAUKI

A zatem zacznę od siebie. Urodziłem się 4 marca 1893 roku w Tarnopolu, ówczesnej Galicji, kraju należącego do monarchii austro-węgierskiej. Ojciec mój Anastazy był lekarzem wolno praktykującym i, jak pamiętam, mało praktykował. Gospodarował we wsi Magdalówka na dzierżawie 700 morgów dzierżawionych od księżnej Czartoryskiej. Magdalówka, nieduża wieś na granicy powiatu skałackiego i tarnopolskiego, położona na stepie równym jak stół, gdzie wzrok od północnego wschodu zatrzymywał się dopiero na paśmie gór Miodoborów, około 20 km, od południa widok zasłaniała wieś, a od północy i zachodu widać było wzgórza nad Tarnopolem, które w prostej linii są odległe około 17 km. Moje pierwsze wspomnienia łączyły się zawsze z Magdalówką, gdzie spędzaliśmy święta i wakacje. Matka moja Helena, z domu Fedorowicz, córka Alojzego, właściciela Żerebek Szlacheckich, wsi położonej 10 km od Skalata i 20 km od Tarnopola.

Do szkoły zacząłem chodzić od szóstego roku życia, a po czterech latach do gimnazjum. Moja nauka w gimnazjum to jedno wielkie pasmo udręczeń. Byłem zawsze silnym chłopcem, biegałem najlepiej w całym gimnazjum, byłem najsilniejszy, więc nic dziwnego, że organizm mój wymagał ruchu, ruchu i jeszcze raz ruchu. Tymczasem moja matka (ojciec rzadko bywał w domu i nie zajmował się naszą nauką), chora na jakieś ataki wątrobowe, zawsze poważna i obolała, pędziła nas – mnie i mojego brata Włodzimierza – do nauki, a na zapewnienie, że już się nauczyłem jej jedyną stałą odpowiedzią było: „To idź i powtórz sobie poprzednie lekcje”. Korepetytor też nas pilnował, a skutek tego był taki, że siedziałem nad książką, ale pod stołem wbijałem złamane stalówki na różne głębokości, stroiłem wg gamy i cichutko wygrywałem zasłyszane piosenki albo wycinałem piękne monogramy na stoliku w różnych wielkościach i zapuszczałem je kolorowymi farbami. W końcu robiła się 12. w nocy, wszyscy ziewaliśmy i szliśmy spać, aby na drugi dzień wstać o 7., ubrać się, siedzieć w klasie, zbierać często dwóje, potem o 1. lub 2. obiad w domu i znów to samo. Nauka nie szła do głowy, a duża ilość korepetytorów zupełnie nie pomagała. Swoją drogą z niektórych przedmiotów, jak np. przyrodnicze nauki, matematyka, fizyka czy geografia, miałem – co prawda – dostatecznie, ale geografię umiałem najlepiej w klasie. Profesor nawet nie pytał mnie, z fizyki tak samo, a tajemnicę tego dostatecznego dopiero zrozumiałem. Profesorowie nasi „klepali biedę”, a że ojciec uchodził za bardzo dobrze sytuowanego, więc chodziło im o „łapóweczki” – o udzielanie lekcji, które udzielane były nam w domu, za dobre pieniądze. Kiedy miałem 14 lat, byłem w czwartej gimnazjalnej, moi rodzice przenieśli się na stałe do Poznanki Gniłej położonej 6 km od Skalata i 10 km od Magdalówki, a ja poszedłem na „stancję” do ciotki Hali Trzczyńskiej z domu Kopczyńskiej. W szóstej klasie „rypnąłem” sobie i przenieśliśmy się do Lwowa do V gimnazjum. Po roku wróciłem do Tarnopola na stancję u pani Gottliebowej oraz do tego samego gimnazjum. Pani Gottliebowa później powróciła do panińskiego nazwiska – Michałowska. Kiedy już miałem 17 lat, to zmyślałem, zacząłem się uczyć, świadectwa miałem już dobre, a nawet bardzo dobre, maturę zaś zdałem w 1912 roku z postępem „jednogłośnie” (były też „większością głosów”), a ja o mały włos miałbym świadectwo z wynikiem „celująco”. Sprzeciwił się temu katecheta, ksiądz grekokatolicki, ponieważ nie byłem Ukraińcem. Na lekcje religii chodziłem z kolegami wyznania rzymskokatolickiego, a to go irytowało i zemścił się przy maturze. Ale czort z nim, zdałem i to było najważniejsze. Platona wyrzuciłem, bo nie znosiłem greki, ubrałem strój cywilny i obowiązkowo wziąłem do ręki laskę. Poszedłem do hotelu Puncherta, gdzie matka z bratem oczekiwali mnie. Gdy powiedziałem im, że zdałem maturę, nie chcieli uwierzyć mi, a ich zdziwienie było tym większe, gdy powiedziałem im, że z wynikiem jednogłośnie. Załatwiliśmy jeszcze różne sprawunki, następnego dnia pociągiem pojechaliśmy do domu. Ojciec, gdy dowiedział się, że

zdałem i pokazałem świadectwo, poczęstował mnie papierosem i wtedy pierwszy raz zapaliłem przy ojcu, choć dobrze wiedział, że od trzech lat palę.

DOM RODZINNY

Dom w Poznance (1260 mórg wraz z gorzelnią), dzierżawa od hrabiego Baworowskiego z Ostrowa, stał na wysokiej gołej i łysej górze, dlatego na lato wyjeżdżaliśmy do Magdalówki, bo tam był sad, mnóstwo drzew i dwa małe stawy. Były to beztrudne wspaniałe wakacje, dom był obszerny, dużo drzew, kręgielnie, tenis, strzelanie, polowanie, miłe towarzystwo (do Magdalówki na wakacje przyjeżdżało dużo osób). Zdrowie i młodość była, były też dziewczęta, a ja do dyspozycji miałem strzelbę i wózek z konikiem.

Magdalówka, majątek ziemski 1400 mórg cudownej czarnej ziemi, należał dawniej do mego dziadka (ojca matki) – Alojzego Fedorowicza – marszałka powiatu skałackiego. Oprócz tego majątku dziadek Alojzy miał Żerebki Szlacheckie, Mytnicę i jeszcze jakieś lasy oraz majątki, ale nie wiem które.

Po śmierci dziadka babka została sama z ósemką dzieci, w tym cztery córki, a te, gdy dorosły i zaczęły wychodzić za mąż, trzeba było odpowiednio wyposażyć, dlatego postanowiła sprzedać Magdalówkę. Czasy były ciężkie, nikt nie miał pieniędzy, dopiero memu ojcu udało się namówić księżną Czartoryską z Jabłonówki do kupna tej posiadłości wraz z 700 morgami ziemi. Księżna jednak zagwarantowała sobie, że ojciec wydzierżawi od niej ten majątek, ponieważ jest „na uboczu jej dóbr”. Ojciec po długich naradach z mamą zdecydował się na dzierżawę, częściowo zrezygnował z praktyki lekarskiej i z zapalem oddał się gospodarowaniu. Z praktyki lekarskiej pozostali mu tylko: ks. Czartoryska, hr. Baworowscy z Ostrowa i drudzy z Sołocka, Lamenzanowie, Borkowscy, Pinińscy, Badeni, Potocki z Krakowa oraz inne domy ziemiańskie. Ponadto za darmo leczył też okolicznych chłopów. Od arystokracji też nie brał za wizyty – ale na Nowy Rok każdy z nich przysyłał pieniężną kopertę albo w prezencie jakiegoś drogiego ogiera czy jakieś bydło importowane itp. Jednym z takich prezentów była dzierżawa drugiego majątku o powierzchni 1260 morgów wraz z gorzelnią – Poznanka Gniła, od hr. Baworowskiego z Ostrowa. Była to bardzo korzystna dzierżawa, gdyż tenutę dzierżawną (czynsz) ustalono po 14 guldenów za morgę i było to po 4 guldeny mniej od ceny ogólnie stosowanej. Dla orientacji podaję, że 100 kg pszenicy kosztowało wtedy 10 guldenów. Wiele dowcipów opowiadano o pieniądzach austriackich – mówiono, że „gulden to floren, a floren to reński, zaś reński to 2 korony” i „szóstka to 10 centów, ale napisane 20 halerzy”. Rubel carski kosztował wtedy jednego guldena albo dwie korony z groszami, dolar zaś kosztował 5 koron. Wobec tego pomniejszona tenuta o 5040 guldenów stanowiła na owe czasy nie lada zysk.

W Magdalówce dom był lepiony z gliny, gontami kryty, z belkami na suficie, ot taki stary duży dwór. W grubie były paleniska do czterech pieców, w których rano o 5. chłop palił słomą, której na Podolu było mnóstwo. Przynosił na plecach „wiązanek” słomy, głośno tupał nogami, grzebał pogrzebaczem w piecu i wtedy dopiero najlepiej się spało. Było jakoś bezpiecznie, bo był tam Michał czy jakiś Pietro i absolutnie nic złego stać się nie mogło. Dom otoczony był gęstymi krzakami, które jak w dżungli rozrastały się i ścisnęły dwór zwłaszcza od zachodu, tj. od pola. Dzięki tym krzewom dwór był osłonięty od wichrów podolskich, za to zimą śniegu nanosiło równo z dachem. Wiosną, gdy ruń się zazieleniła, ciągnęły się nad stepami stada czajek, kulonów i tysiące żurawi, które po kilkudniowym wypoczynku ruszały dalej na Pańszczyznę i dalej na łęgi. Zimą zaś, gdy śniegi wyrównały miedze i drogi, robiło się „białe morze”, powstawały wówczas zimowe drogi, a jedynymi drogowskazami były z

rzadka, ustawione latem, przydrożne krzyże i figury świętych. Zdarzało się, że ludzie w bezkسیężycowe noce błądzili, a nawet zamierzali razem z końmi. U nas, w jednej stajni z oknami od strony stepu, stróż nocny w oknie stawiał zapaloną latarnię, której światło jak z latarni morskiej wskazywało drogę zbłądzonym. Bywało, że chłopci wjeżdżali do ciepłej stajni i błogosławili tę lampę, której światło widać było ze złowrogich, zimnych i strasznych w nocy stepów. Za to wiosną, gdy jechało się wąską polną dróżką, a po obu stronach dwumetrowe ściany żyta, pszenicy albo miodny zapach hreczki, a do tego jeszcze szaleńczy śpiew skowronków, wtedy zawsze nasuwało się pytanie – czy jest gdzieś piękniejszy kraj niż to nasze kochane Podole? Czy jest gdzieś miłszy wiatr, który hulał po tych nieobjętych wzrokiem przestrzeniach? Czy było gdzieś czystsze powietrze niż tam? Ta urodzajna, czarna ziemia ze swoim kontynentalnym klimatem była też czasem i niewdzięczna, zwłaszcza zimą, gdy przychodziły straszne wichury, które przy silnym mrozie i bez pokrywy śnieżnej powodowały, że piórka ozimin wymarzały i na wiosnę trzeba było dosiewać. Latem po upalnym dniu czasem przychodziła druga klęska – gradobicie. Grad siekał i młócił wykoszone zboża. Często chłopci kosili niedojrzałe, pomierzwione zboże na swoich poletkach i ponownie zasiewali je hreczką, bo ozimy dawały słomę. Żadne sztuczne nawozy nie były potrzebne, najlepsze przeciętne zbiory dawały poletka nawożone obornikiem i gęsto zasiewane. Wielkie było umiłowanie ziemi, cena dochodziła 1000 koron za morgę, co stanowiło równowartość 10 krów, nic też dziwnego, że brat bratu rozbijał głowę za zaoranie kilku centymetrów miedzy. Wracał z Ameryki z ciężko zarobionymi tam dolarami i nie patrząc na nic kupował kawał ziemi. Obsiewał, zbierał i odpoczywał po lecie, by wiosną znów ruszyć w pole. Po latach odchodził, a syn jego wstępował w ojca ślady... i tak ciągnęło się przez wieki. Kroniki metrykalne w cerkwiach i kościołach notowały rodziny, które od 400 lat w tej samej wsi żyły i żyją. Dla naszego chłopca ziemia była warsztatem pracy, tylko pracy, bez względu na to czy płatnej czy nie. Miał on we krwi umiłowanie tej ziemi, na wiosnę czuł jej zapach, a jesienią rozkoszował się bogactwem plonów.

Do takiej Magdalówki, do takich okolic biegnę często myślami teraz, gdy wszystko kończy się dla mnie, bo zaczyna się starość. Magdalówka została po drugiej stronie nowej granicy na Sanie, ale czy na zawsze? Wątpię! Bardzo wątpię!

RODZICE MOI

Ojciec mój po ukończeniu medycyny w Krakowie dostał posadę lekarza kolejowego w Podwołoczyskach. Przekorny los chciał inaczej. Gdyż jadąc tam pod samym Tarnopolem wydarzyła się katastrofa kolejowa, dużo osób było rannych, a w pociągu tylko mój ojciec był lekarzem. Zaraz zorganizował pierwszą pomoc; tamował krew, prowizorycznie składał połamane ręce i nogi, że gdy przyjechała specjalna pomoc z Tarnopola, to już większa część ciężiej rannych była jako tako opatrzona. Na udzielaniu pierwszej pomocy nie skończyło się, bo wiele rannych ulokowało się w tarnopolskim hotelu, prosiło o odwiedziny i dalszą opiekę. Ma się rozumieć wyjazd do Powołoczysk został odłożony, a kilkudniowy pobyt w Tarnopolu i zawarte tam znajomości zrobiły swoje. Faktorzy żydowscy znaleźli mieszkanie, a nawet pożyczili pieniądze na kupno powozu, parę siwych koni, na wynajęcie furmana i lokaja uważając, że: „jak pan doktor przyjdzie piechotą, dostanie guldena, a jak przyjedzie swoim powozem, to zapłacą pięć razy tyle, a zaciągnięty dług to pan doktor odda jak będzie miał”. Szczęście dopisało ojcu zaraz na wstępie, bowiem w tym czasie zachorował „cudowny” rabin (rabin – nauczyciel judaizmu, znawca prawa religijnego oraz jego świętych ksiąg) z Zarwanicy. Sprowadzono wówczas wielu lekarzy, profesorów ze Lwowa, którzy dniem i nocą siedzieli koło chorego. Parę tysięcy Żydów z Zarwanicy i okolicy zebrało się na modły i na spodziewany pogrzeb umierającego rabina-cudotwórcy. Wreszcie profesorowie pewnego dnia

oświadczyli, że nie ma ratunku. Rebe musi umrzeć, a oni wracają do Lwowa. Poradzili też, niech sprowadzą jakiegoś młodego lekarza, który będzie czuwał i ulży choremu. Wielce zaniepokojeni Żydzi sprowadzili mego ojca, który po dokładnym zbadaniu chorego stwierdził tyfus – puls słaby, serce kiepskie, gorączka krytyczna. Profesorowie odjechali, a Żydzi w płacz i proszą „Ratuj pan naszego rebege”. Zrobił się wielki gwałt – młody lekarz chce jeszcze ratować naszego rebege. Wtedy ojciec kazał wszystkim wyjść z pokoju, a dwóch poprosił o wniesienie wanny z zimną wodą, do której polecił włożyć chorego w celu obniżenia gorączki, a po jej obniżeniu puls nabierał lepszego tętna, a wtedy wyjmowano chorego z kąpieli. Gdy temperatura ponownie zanadto wzrosła, zabieg powtarzano i tak to leczenie trwało przez całą noc. Ojciec przez całą noc nie spał, a tysiące Żydów na ulicy cmokało „aj waj, żyje, kąpi się, już in bed pod kołdrę powrócił, aj waj, to wielki doktor, on znów do wody rebege”. I rzeczywiście, Bóg dał, że kryzys minął i na drugi czy trzeci dzień ojciec, który pił tylko czarną kawę, powiedział: „Dajcie mi jeść, rebe będzie żył”. „Rebe będzie żył, gwałt! Profesorowie powiedzieli, że umrze, a tu młody, nieznany lekarz mówi „Silit, będzie żył”; to wielki doktor.

Wieść o uzdrowieniu rebege-cudotwórcy obiegła niczym telegraf całą okolicę. Po czterech dniach rebe siedział już w fotelu jako rekonwalescent. Znowu pełno ciekawskich Żydów napchało się do pokoju, gdy ojciec żegnał się z rebem, któremu już opowiedziano, jak to lekarze ze Lwowa wydali wyrok śmierci na niego, a młody lekarz uratował go. Jak go na zmianę wkładali do zimnej wody i pod koc, cztery razy w ciągu nocy. Za uratowanie życia rebe dał ojcu 5 złotych florenów (10 koron) i powiedział: „Panie doktorze, to od rabina z Zarwanicy na szczęście”, podał rękę, podziękował i zakończył ceremonię pożegnalną. Ojciec uważał, że za te trzy czy cztery nieprzespane noce to trochę mało, ale te słowa starca – „na szczęście” – zrobiły swoje. Jednak już na progu jakiś adwokat za ten pieniążek dawał ojcu 50 koron, a na dworcu kolejowym Żydzi oferowali już 200 guldenów! Para buczków czy korzec pszenicy kosztował 7 guldenów (korzec – jednostka obj. ciał sypkich, w XIX w.: 1 k=128 l). Żydzi nie dawali ojcu spokoju, chcieli odkupić ten pieniążek, ofiarowany wobec tłumu Żydów „na szczęście” przez rabina „cudotwórcę”. Zanim dojechał do Tarnopola, już Żydzi tarnopolscy wiedzieli o wszystkim. Pełno ich czekało na stacji i dotykało płaszcz mojego ojca, żeby to szczęście i na nich też spłynęło.

I tak zaczęła się ogromna praktyka, zaczęli wzywać ojca do dworów i pałaców. Jednak po kilkunastu latach nie ordynował już w ogóle, tylko gospodarował na wsi, dojeżdżając czasem do starych pacjentów jako lekarz. Pieniążek miał stale przy sobie, a umierając dał memu bratu. Bezwzględnie moneta ta przynosiła pieniądze, bo i ojciec, i brat mieli szczęście w interesach, a kredyt był zawsze nieograniczony. Tak to los czasem płata dziwne figle.

MOJE DZIECIŃSTWO

Jedno z pierwszych moich wspomnień z dzieciństwa to, gdy dostałem pieska za to, że nie pojechałem z rodzicami do Lwowa. Rodzice wrócili wieczorem i w koszyczku przywieźli mi małego szpica z czerwoną kokardą. Gdy zobaczyłem, że piesek biega, zawołałem „piesio bizia”, co miało znaczyć biega. Piesio został Biziem. Po latach tego Bizia – bezzębnego, parszywego staruszka – razem z bratem musieliśmy zastrzelić z dwóch dubeltówek. Nawet nie pisnął. Ale długo śnił mi się po nocach i ciekawe, że bratu też pokazywał się w snach. Następne wspomnienia sięgają już czasu, gdy miałem 4 lata i nasza bona Frau Marie nauczyła mnie chować kciuk i pokazywać 4 palce „du hast 4 jahre”. Pamiętam też lampę na żelaznej podstawie ze smokiem i trzema dziewczycami, z białą umbrą i nie wiem dlaczego – ze szkiełkiem zalepionym przepalonym papierkiem. To było w tej Magdalówce, gdzie po

zimowym magazynowaniu zboża mimo gruntowego pobielania ścian w pokojach zawsze pachniało specyficznym myszowato-zbożowym zapachem. Co było szczególnie odczuwalne przez pierwsze dni, gdy przyjeżdżaliśmy na wakacje.

Wakacje! Czy jest piękniejsze słowo dla ucznia? W ostatnim dniu nauki biegnę do szkoły po świadectwa, zawsze ze strachem, potem kupowałem się naszywki do kołnierza o jeden pasek więcej (paski srebrne do 4 klas niższych, złote do 4 wyższych) i galopem do domu. Miałem zawsze szlacheckie świadectwa, tzn. z religii bardzo dobry, a potem dost, dost, dost. itd. – aż dopiero z gimnastyki i śpiewu bardzo dobry, ale grunt, że przechodziłem do klasy wyższej. Wbiegałem na podwórze do domu przy ulicy Kościelnej, a tam już fura wymoszczona słomą, chłopcy znoszą poduszki, materace, pełno jakichś tajemniczych paków i pakunków, a tymczasem jeszcze trzeba czekać do obiadu, po którym dopiero mamy wyjechać.

Jazda przez Tarnopol, przez ulicę Mikuliniecką obok cerkwi i żydowskiego cmentarza i już jesteśmy za miastem. Potem pomost kolejowy na Brzeżany, pod górę i dojeżdżamy do pierwszej wioski Gaje 4 km dłużej (tu w dniu 27 marca 1945 roku bojówki UPA napadły na polskie zagrody, mordując 68 osób). Dalej otwiera się widok, jaki tylko na Podolu. Na lewo widać dwa białe domy na tle parku – to Borki Wielkie. Przed nami widać topole Magdalówki, jeszcze dalej podsmykane drzewa Mytnicy i wieża kościelna Skałatu (w 1963 roku kościół ten wysadzony został w powietrze, obecnie w pobliżu tego miejsca wybudowano nowy kościół pw. św. Anny). Wzrok spoczywa na długim paśmie Miodoborów (na południowy wschód od Zbaraża ciągnie się na przestrzeni blisko 60 km aż po przełom Zbrucza między Satanowem a Liczkowcami). Po następnym kilometrze zatrzymujemy się – roгатka. Stara Żydówka odbiera myto – 4 centy. Jedziemy dalej, przed nami głęboki jar, w dole rzeka Gniezna i jedna za drugą wieś: Borki, Dyczków, Krasówka (kościół pw. św. Anny z końca XIX wieku, w 1992 roku został przebudowany na cerkiew pod tym samym wezwaniem), Toustoługa, Białokóra, a tam dalej Grabowiec i Baworów (b. miejscowość letniskowa, od 1540 roku uznany jako miasteczko, własność rodu Baworowskich, w dniu 2 listopada 1943 roku bojówka UPA napadła na miejscową plebanię mordując proboszcza i organistę, zaś wikaremu ks. Ludwikowi Rutynie udało się przez okno uciec; później po 1990 roku był pierwszym powojennym proboszczem w parafii tarnopolskiej). Przejeżdżamy obok cmentarza i zawsze zażenowani czytamy na nagrobku napis „Tu spoczywa Marcin Dupa”. Wąwozem pod górę jedzie się drogą powymulaną deszczami, z głębokimi rowkami, o różnych przechyłach, na których matka krzyczała ze strachu, a my zeskakiwaliśmy i wskakiwaliśmy z wozu. Przejeżdża się obok mogiły z grubym, niezdarnie ciosanym krzyżem, ze starosłowiańskim napisem, który głosi, że „ tu spoczywa pan Oleg ze swoim sługą, który zginął w walce z niewiernym”. Dalej po lewej stronie figura świętego Jana Chrzciciela w czerwonych szatach, który leje wodę na głowę Chrystusa. Następna to figura z czterema słupami kamiennymi, a sam Chrystus z główką większą niż cały korpus z nogami. Po prawej stronie na stepie, wśród rzadkich drzew, domek i stajnia, to Czahary i folwark z Grabowca. Potem z góry na dół i mostek, specjalny, podolski, który w czasie śnieżnych zawiści było dobrze widać. Wreszcie widać białą figurę świętego Antoniego, cel wieczornych spacerów z Magdalówki. Ładna figura z napisem Na Twą cześć Św. Antoni dla przestrogi błędnej braci stawiam tę figurę, iż Bóg siódme przykazanie kazał czcić – poszkodowani z gminy Magdalówki w roku 1877. Memento – nie kradnij – wyryto na przestrogę, po kradzieży dużej ilości koni, drobiu i kozuchów, dokonanej przez będący w pobliżu obóz cyganów. Koło figury skręt na prawo i przed nami w odległości 600 metrów Magdalówka.

Zeskakujemy z powozu i z dużym przejęciem rozglądamy się wokoło, a myśli i plany pchają się i migają w główkach dziecięcych. Biegamy z siostrą zobaczyć, czy znajdziemy zakopane koło kręgielni nasze pisma pożegnalne z wakacji zeszłorocznych, to znów oglądamy, czy monogramy z datą wyrżnięte wysoko na lipie jeszcze są widoczne? A w sadzie nad stawkiem – czy czółno dobre? Czy mój konik jest w stajni? Gdzie mój wózeczek? Po kolacji wielkie mycie i pełni wrażeń idziemy spać. Ale coś spać nie mogę. Słyszę jakieś kroki, otwieram oczy i co to? Już dzień! Tak to mijały noce wakacyjne i tak samo dni leciały. Rachowało się, wiele jeszcze tych dni zostało do końca wakacji, niestety coraz mniej. I znów pisało się listy pożegnalne, misternie pakowane i chowane w ziemi. Ryło się jeszcze monogramy na lipie i następował smutny dzień odjazdu. Zostawiało się huczącą maszynę do młócenia zboża, zostawiało się wysokie sterty świeżo omlóconej słomy, dwie ogromne topole – ostatni rzut oka na naszą Magdalówkę i przed nami Tarnopol i cały rok szkoły!

Tak mijały lata, aż w 1912 roku zdałem maturę i zapisałem się na medycynę w Krakowie. Uczył mnie Kostanecki (Kazimierz, 1863–1940, profesor anatomii, rektor UJ – zginął w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen), Marchlewski (Leon Paweł, 1869–1944, profesor chemii lekarskiej na UJ – autor podręcznika „Chemia organiczna”), Bujwid (Odon Feliks Kazimierz, 1857–1942, bakteriolog i immunolog, profesor UJ, działacz społeczny – założył Uniwersytet Ludowy) i wielu innych. Niektórzy z nich to tytani nauki – sławy europejskie. Z zapałem uczyłem się anatomii i dzisiaj po 40 latach jeszcze pamiętam jakieś tam: clavícula, musculus sternocleidomastoideus, wyrostek kruczodzioby i inne. Ale na święta wielkanocne ojciec mój zaczął mi odradzać medycynę i mówił, że gdy będę chciał mieć dom i rodzinę, to nie będę miał z czego żyć, a jeśli będę miał z czego, to nie będę mógł być w domu z rodziną z powodu braku czasu. Byłem usposobienia rodzinnego, mieliśmy wszyscy zaufanie do ojcowskich rad. Przeniosłem się na prawo. Studiowałem prawo polskie, rzymskie, kościelne. Egzamin miałem zdawać w 1914 roku. Niestety wybuchła wojna światowa.

Aleksander Świstuć
WSPOMNIENIA PODOLSKIE (2)
Moje prywatne sprawy

(Cracovia Leopoldis, 2011, nr 2, s:8-14)

I WOJNA ŚWIATOWA

28 czerwca w Sarajewie – stolicy Bośni i Hercegowiny – został zamordowany austriacko-węgierski następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand Habsburg. Po miesiącu, 28 lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Następnie Niemcy ogłosiły stan wojny z Rosją i Francją. Po kilku dniach Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji, a także Wielka Brytania i Serbia – Niemcom. Wielka Brytania i Francja ogłosiły 12 sierpnia stan wojny z Austro-Węgrami. Wojna trwała ponad 4 lata i zakończyła się porażką państw centralnych. Wzięły w niej udział 33 państwa, z tego 29 po stronie Ententy – porozumienie między Francją, Rosją i W. Brytanią.

Siostra moja Maria, zamężna za Arturem Friedrichem, doktorem prawa, który był urzędnikiem Starostwa Skałackiego, wyjechała z dzieckiem Tusiem i moją mamą (Heleną) do Tarnopola. Natomiast ojciec z bratem moim i ze mną został na gospodarce we wsi Poznanka. Fala uciekinierów przechodziła przez Tarnopol. Ktoś poinformował matkę, że my z ojcem uciekliśmy do Wiednia. Wobec tego matka z córką i wnukiem też wyjechały do Wiednia, o czym my nawet nie myśleliśmy.

Pamiętam, w czwartek, po 8 dniach od wypowiedzenia wojny, stałem z bratem przed stacją końską w Poznance, a obok drogą ciągnęły oddziały straży państwowej, policji i żandarmerii, jakieś oddziały wojskowe i setki fur żydowskich. Kilku Żydów wstąpiło do ojca, wszyscy przestraszeni. Pytają I co? Pan doktor nie jedzie? Nie! – ostro odpowiedział ojciec. Żydzi „szu szu” między sobą i powiedzieli To my się tu u pana doktora zatrzymamy. Dobrze, powiedział mój ojciec, a Wam tymczasem porabują sklepy, bo zamiast handlować uciekacie. To słówko „handlować” zrobiło swoje. Jeden z nich – najodważniejszy – krótko powiedział zurück, a za nim reszta i setki różnych żydowskich zaprzęgów klusem jechało z powrotem do domów. Nagle słyszymy, że gdzieś młóci maszyna. O tej porze, w takim dniu odwrotu i paniki? Wtedy zobaczyliśmy pierwszy dwuskrzydłowy aeroplan. Leciał nisko i obserwował. Bohaterzy nasi chowali się gdzie mogli i strzelali z karabinów i rewolwerów, ale aeroplan odleciał i nagle zrobiła się cisza zupełna, nawet wiatru nie było.

PIERWSZE SPOTKANIE Z WROGAMI

Był cudny, letni, upalny dzień. Robota na folwarku nie szła. Wróciliśmy do domu pełni jakiegoś oczekiwania. Na noc ponabijaliśmy nasze karabiny, dubeltówki, rewolwery, ale noc minęła spokojnie i cicho. Poszliśmy z dobrą lornetką Zeissa na strych domu i zobaczyliśmy, że z Miodoborów po serpentynie jadą furgony, kuchnie polowe, a polami płynie falą jak rzeka piechota rosyjska. Do pokoju wpada żołdat z naszywką na ramieniu 357. Rabuje zegarek ojca z szafki, bierze rewolwer, pieniądze i ucieka. Za chwilę przyjeżdża oficer konno z dwoma żołnierzami. Chce „podsolniecznoho masła”. Myślałem, że chodzi o topione masło. Nieporozumienie, dopiero później dowiedziałem się, że to miał być olej słonecznikowy. Korzyść jednak z tej wizyty była taka, że gdy ojciec opowiedział o rabunku i o cyfrze 357, to 2 godziny później wpadł ten sam żołnierz, oddał zegarek, rewolwer i pieniądze oraz błagał na wszystkie świętości, aby go nie wskazać, bo śmierć czekałaby go za to. I potem już nigdy nie mieliśmy żadnych napadów i szkód, aż do wybuchu rewolucji. Huk artylerii dochodził do nas

coraz słabszy. W końcu dowiedzieliśmy się, że matka wyjechała do Wiednia z siostrą i małym Tusiem. Zostaliśmy rozdzieleni.

W Skalacie starostą został graf Bielecki-Żukowski, jakiś morganatyczny syn (potomek panującego lub następcy tronu z kobietą nie z rodu królewskiego) wielkiego księcia Romanowa, człowiek bardzo kulturalny, światowiec. Polowaliśmy przez cały sezon 1914 do 1915 roku. Żyliśmy jak u Pana Boga za piecem. Ruble płynęły strumieniem. Sprzedawaliśmy bydło, słomę, owies, było tanio, kucharka dobra, jedliśmy smakołyki i doprowadziliśmy się do ciężkiej wagi. Ojciec zawsze był gruby i doszedł do 150 kg! Ja z bratem po 90 kg z hakiem. Brat atletycznie zbudowany, martwił się, że uda mu o parę centymetrów cieńsze od Cyganiewicza¹, ale to nie przeszkadzało mu brać 100 kg pszenicy pod jedno ramię, drugie 100 kg pod drugie ramię i tak niósł je do wozu. Tam lekko podnosił worek w dwóch rękach i wrzucał jeden po drugim na wóz. Ja tego nie potrafiłem, chociaż też nic mi nie brakowało. Mieliśmy wielkie poszanowanie, bo wszyscy parobcy wiedzieli, że jesteśmy silni. W takiej idylli uczyliśmy się języków: francuskiego i rosyjskiego, aż do września 1915 roku, kiedy to rozpoczęła się ofensywa austriacko-niemiecka pod Gorlicami².

Moskale nie mieli amunicji i cofali się na łeb, na szyję. Ojciec nie chciał, abyśmy z bratem dostali się do armii austriackiej. Zapakowaliśmy 4 wozy najdroższymi rzeczami i dwoma powozami wyjechaliśmy z Poznanki przez Gilatyńce, Płoskorów, Starokonstantynów i Chmielnik do Konstantynówki, gdzie zatrzymaliśmy się u pana Rudzkiego. On, inżynier chemik, miał majątek przeszło 1000 hektarów ziemi, gorzelnię i wspaniały browar, z którego krociowe dochody przerwała wojna. Tam siedzieliśmy do listopada. Potem z ojcem pojechaliśmy do Kijowa, gdzie wstąpiłem na Akademię Handlową. Wkrótce brat z ojcem powrócili do Poznanki. W sierpniu 1916 roku, po zdaniu egzaminu i ja wróciłem, ponieważ front zatrzymał się pod Tarnopolem. W kontrofensywie odepchnięto Niemców o dalsze 30 km na zachód, tak że front walk oddalony był od nas o jakieś 60 km. W 1917 roku, po zamachu na Rasputina³ i po abdykacji cara, rewolucja przekreśliła naszą sielankę w Poznance.

Gazety codzienne przynosiły płomienne przemówienia: Aleksandra Kiereńskiego⁴, Pawła Nilukowa⁵ oraz Michaiła Rodzianki⁶, jednak na froncie nic one nie pomagały.

Dyscyplina w armii przestała w ogóle istnieć, zapanował chaos. A tymczasem austro-niemiecka armia posuwała się na wschód i we wrześniu 1917 r. linia frontu przebiegała 5 km od Poznanki, w Sorocku⁷, potem koło Mytnicy, tak że od Magdalówki byliśmy oddzieleni rowami i zasiekami linii frontowej. Jednego dnia Rosjanie zaczęli rabować. My z ojcem uciekliśmy na wieś do chłopów. Rosjanie rzucili się na dom, podpalili cały folwark, dom zrabowali i dopytywali się Hdie pomieszczeni, jednak nikt nas nie zdradził. Następnego dnia przyszli do nas Niemcy. Byliśmy zrezygnowani i zdecydowani na pójście do wojska niemieckiego. Tymczasem w nocy Niemcy cofnęli się do Poznanki. Przyszli znowu Moskale i ewakuowali wszystkich młodych w wieku poborowym. Wśród ewakuowanych byłem ja z bratem. Zatrzymaliśmy się dopiero za Dnieprem w Prylukach. Tam siedzieliśmy aż do listopada, gdyż front ustabilizował się. Brat na fałszywy paszport wrócił do domu do Poznanki, natomiast ja zostałem w Prylukach. Na rynku nie można było kupić żadnego jedzenia, nawet chleba.

POSTANOWIENIE UCIECZKI DO AMERYKI

Postanowiłem emigrować przez Syberię do Ameryki. Decyzja była krótka: dworzec kolejowy, kupno biletu i w drogę. Jazda w wagonie towarowym była wystarczająco wygodna. Ale masy powracających do domów, rozwydrzonych żołdatów psuły nastrój. Po kilku dniach podróży, po obopólnym zaznajomieniu się, jako tako się zżyliśmy. Opowiadałem banialuki, tłumaczyłem im różne zjawiska fizyczne i przyrodnicze, co spowodowało, że w Samarze⁸, po przejechaniu przez Wołgę, do wagonu wpadli jacyś żołdaci z krzykiem: Zdieś Austryjec jest', jednak moi towarzysze podróży zatrzasnęli im przed nosem drzwi mówiąc nie tu. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że blisko byłem jakiegoś samosądu, ale Bóg mnie uratował.

Na Syberii za Uralem władza była jeszcze w rękach generała Kołpaka (białego), był względny porządek i dojechaliśmy szczęśliwie do Czelabińska⁹. Wyszedłem na rynek i zobaczyłem sterty białego chleba, ogromne bochny czterokilogramowe po 6 rubli. Kupiłem 2 sztuki. Pociąg ruszył i aż do Omska¹⁰ jechaliśmy równiną. Jezioro, laski brzoźowe, step, rodzaj 800-kilometrowego parku angielskiego. Potem Omsk, Krasnojarsk¹¹ i Irkuck¹². Po 20 dniach podróży zatrzymałem się w Irkucku, bo chciałem odszukać teścia Wołodii Świstuna, pułkownika, lekarza w armii rosyjskiej, który ożenił się z panną Stojanowską albo Strojnowską, zaś ojciec jej podobno miał fabrykę mydła w Irkucku. W „Domu Polskim” nikt nie mógł mi nic powiedzieć. Postanowiłem pojechać przez Władywostok do Ameryki, zwłaszcza że i na Syberii zaczynały się rozruchy oraz słyszało się pogłoski o mającym lada chwila nastąpić przewrocie. Nająłem dorożkę i pędem przez most na Angarze pojechałem na stację, kupiłem za 60 rubli bilet do Władywostoku, spytałem o pociąg, odpowiedziano mi wot won stoit, wskoczyłem do ruszającego już pociągu i w tej chwili zaczęły walić armaty. Most na Angarze został zerwany. Pociąg zatrzymał się dopiero 70 km za Irkuckiem. Na drugi dzień dojechaliśmy do stacji Bajkalsk nad Bajkałem. (Jezioro Bajkał straszne! Czarne, wzburzone, szumiące. Na horyzoncie gubi się jak morze, tylko w wąskim miejscu słabo widać przeciwny brzeg, wysoki, zalesiony, górzysty). Cały dzień jechaliśmy nad Bajkałem przez 42 tunele. Fale co chwila oblewały bryzgami wagony, był silny sztorm. Po kilku dniach wjechaliśmy do Mandżurii. Zaczynał się kraj Ussuryjski¹³. Po 16 dniach podróży dojechaliśmy do Władywostoku. Na dworcu wysiadam i przed sobą widzę zakończenie torów kolejowych i morze – Ocean Spokojny! Dworzec kolejowy piękny, poczekalnia też. Jem, piję herbatę i raptem słyszę Jurek – no chodź już, bo tam mama czeka z wigilią. Z wigilią? Zaczynam przeliczać kalendarz starego stylu, i tak: dzisiaj 24 grudnia 1917 roku, to wigilia. Ja tu, a gdzie moi najbliżsi? Wracam do hotelu, po drodze kupuję kiełbasę, zamawiam samowar, półlitrerek w kieszeni i przy basowych sygnałach okrętowych, zły na los, z lekkim rauszem kładę się spać. Po kilku dniach idę do konsulatu amerykańskiego, pokazuję swoją legitymację uniwersytecką ze Lwowa i mówię, że chcę jechać do Ameryki. Dobrze, ale dzisiaj jest sobota, okręt odpływa w poniedziałek o 10-tej, proszę przyjść o 8-ej, sprawę załatwimy. Taką odpowiedź dał mi sympatyczny urzędnik. Przychodzę w poniedziałek i ten sam sympatyczny pan z uśmiechem mówi Niestety, wczoraj Austria wypowiedziała nam wojnę, jesteśmy wrogami i wyjechać pan nie może. Pożegnaliśmy się serdecznie i wyszedłem na ulicę.

POBYT NA SYBERII

Co robić? Postanawiam zmienić drogi hotel. Jadę do Siedanki, 17 km od Władywostoka, tam dostaję pokój za 20 rubli miesięcznie. Szukam posady. W bankach nigdzie. W sklepach nic, i tak mija styczeń i luty. Dopiero w marcu siedzę sobie na werandzie i słyszę jakieś krzyki – Ryba idiot – idzie ryba. Co to znaczy? Lecę nad strumyk, a tam ludzie łapią sitami, siatkami rybki moskaliki. Nazywają je koroczka (mały śledzik przyrządzany

zwykle w occie). Od znajomego rybaka – Polaka dostałem 2 metry kwadratowe siatki, kabłąk zrobiłem, przymocowałem żerdź i po chwili wyciągam za jednym zamachem 3 kg ryb. Złowiłem ich bardzo dużo i sprzedawałem je Chińczykom. Część rybek uwędziłem, resztę sprzedałem i wyjechałem do wsi Korolewec, odległej od Władywostoku około 42 km. Kupiłem konia bułanka i kiepski wóz, nająłem chatę z ogrodem, 3 ha i rozglądałem się, co robić dalej? Ogród zasialiśmy, kurki biegają, są sianokosy, lipiec 1918 rok. Tymczasem gen. Kołczak został pobity. Wszędzie są bolszewicy, wojna jest skończona, można wracać. Likwiduję wszystko i idę na stację. Czekam na pociąg, godzinę, dwie, to tutaj nic nie znaczy. Po 10 godzinach zaczynam się niepokoić i nagle zobaczyłem na torze jakichś żołnierzy, ale nie rosyjskich. Zapytałem, co i jak? Okazuje się, że są to czeskie legiony wracające z Syberii. Jednak jechać nie wolno, bo gdzieś tam toczą się jeszcze walki z Rosjanami, nie wiadomo jakimi. Zostaję wobec tego w miejscowości Nadieżdinska odległej o 30 km od Władywostoku. Najmuję u Kazacha pokój z kuchnią i czekam, co będzie dalej.

W Domu Polskim we Władywostoku prezeska pani Bielikiewiczowa oddaje mi pod opiekę pana Jana Makowskiego z Poznańskiego, który w nostalgii dostawał nerwowego rozstroju. – Proszę się nim opiekować, bo pan taki spokojny. I pan Maksio zamieszkał u mnie. Okazało się, że mój Maksio, żołnierz pierwszego pułku gwardii Wilusia w Berlinie jest z zawodu kaflarzem – zdunem. Zaczynamy we dwójkę stawiać piec. Sława „awstryjskich mastierow” prędko rozniosła się i wiele roboty nam przybyło. Jako zapłatę dostajemy tu słoninę, tam mąkę, mleko, pieniądze, i można żyć.

Tymczasem zrobiła się zima i święta za pasem. Za radą Maksia wzięliśmy po 500 rubli i pojechaliśmy 200 km do stacji Pogranicznaja na stronę chińską. Tam zrobiliśmy zakupy wódki, cukru, kart do gry i postanowiliśmy przeszwarcować to przez granicę. Maksio był też chłop jak ja, więc z bagażem po 35 kilogramów na plecach o 12 w południe rażno ruszyliśmy za miasto. Przed pierwszymi posterunkami skręciliśmy w zarośla w góry i górami, dołami, brnęliśmy po bezdrożach w śniegu około 25 kilometrów. Tymczasem zrobiło się ciemno. Aby odszukać tor kolejowy, zeszliliśmy z gór i na równinie wśród gęstych krzaków łoziny znaleźliśmy się na krętej drożynce. Umęczeni, bez treningu, zrzuciliśmy z ulgą nasze bagaże, rozbiliśmy jedną blaszankę wódki (1/2 litra), wypiliśmy i zakąsiliśmy kielbasę. Chcemy iść dalej, a tu przed nami jak spod ziemi staje żołnierz rosyjski. Czerwony, czy z oddziału białych? Mówimy mu, że niesiemy wódkę na święta dla kolegów, że jesteśmy Polakami. Nasz żołdat okazał się ludzkim człowiekiem, wziął wódkę i kielbasę i jeszcze doradził, aby iść dalej krzakami, bo niedaleko jest most kolejowy pilnowany przez 20 żołnierzy, którzy mogą wszystko odebrać. Żołnierz odszedł, a my ruszyliśmy w zarośla. Nagle usłyszeliśmy gdzieś daleko przeciągłe wycie wilków. Nieprzyjemnie nam się zrobiło, ale mieliśmy spirytus i zapałki, więc tylko powycinaliśmy odpowiednie maczugi i ruszyliśmy dalej. Po chwili przeszliśmy przez jakiś strumień. Domyśliliśmy się, że nad nim jest ten most kolejowy, tak pilnowany. Po przejściu jeszcze kilka kilometrów skręciliśmy znów na południe. Nagle Maksio mówi, że już widać semafor kolejowy. Gdy przypatrzyłem się dobrze, zorientowałem się, że to jakieś wilczysko świeci ślepiami. Cisnęliśmy nasze maczugi i „semafor” uciekł. Po pół godzinie dalszego marszu, w szczerym polu, zobaczyliśmy słup z tablicą 42 wiersta rozjezd. Po godzinie nadjechał pociąg. Ja wskoczyłem gładko, a mój Maksio był pewnie zmęczony, wskakując przycisnął worek do ściany, tak że bańka ze spirytusem pękła i zapach wódki rozszedł się po całym wagonie. Wszyscy zaczęli krzyczeć daj wodku, sprzedaj. Pociąg stanął na stacji Grodkowo. Do wagonu wszedł żołnierz i zaprowadził nas na posterunek. Maksio dawał mi znaki, aby mu kark skrócić, było ciemno, jednak go powstrzymałem. Odebrali nam połowę zakupów i po powrocie do domu co nieco zarobiliśmy. Tak skończył się mój pierwszy i zarazem ostatni występ kontrabandyzisty. Nadmiar mleka zacząłem wozić

do amerykańskiego szpitala, zarobek był dobry. Na wiosnę pojechałem do Omska z myślą przedarcia się do domu. Ponieważ dalej nie można było jechać, więc wróciłem do Władywostoku. Tam podjąłem pracę jako kamerdyner u konsula amerykańskiego, u tego, który wcześniej odmówił mi wizy do Ameryki. Było mi tam dobrze. Uskładałem około 100 dolarów i ten właśnie konsul pomógł mi wydostać się z Rosji małym chińskim, drewnianym statkiem. Znalazłem się w Szanghaju. W ciągu mego trzymiesięcznego pobytu tam miałem różne propozycje, dopiero polski konsul, pan Horodyski namówił mnie na wyjazd. I francuskim statkiem „Cordyliere”, przez Hongkong, Sajgon, Singapur, Kolombo na Cejlonie, Dżibutti w Afryce, Suez, Port Said, Marsylię – i po 42 dniach pływania znalazłem się w Europie, a po następnych 10 dniach w Tarnopolu.

Chcąc opisać to wszystko, co widziałem po drodze, to nie zmieściłbym w jednym tomie. A widziałem i wyzysk kapitalistyczny, i nędzę kolorowych, i wstrętne panoszenie się Anglików. Cóż mówić? Czy może o tym, jak kilka tysięcy Chińczyków, na chińskich taczkach o jednym dużym kole, kamiennym chodniczkim wozi po 600 kg węgla na odległość 20 km do portu morskiego? A drugą stroną ścieżki wraca tysięczna rzesza tych, którzy już swój węgiel dostarczyli na miejsce i teraz śpieszą do domów, aby jutro znów w morderczym wysiłku powtórzyć przewóz węgla do portu. Ta katorżnicza praca jest wynikiem tego, że opłata kilku tysięcy Chińczyków jest tańsza niż koszt budowy kolei. Czy może napisać, że robotnik w Singapurze zarabia 20 centów, to jest tyle, ile kosztuje jedna paczka najgorszych monopolowych papierosów? Czy może o rikszarzu, który w Szanghaju od 6 rano do późnej nocy, za 8 dolarów chińskich (60% amerykańskich) woził swego pana? A może o dzieciach w wieku 4–8 lat, które w ogromnych piwnicach, jaskrawo oświetlonych, siedziały przy stołach i małymi paluszkami przebierały każdy listek herbaty, a pilnujące stare Chinki były po palcach każde, które na chwilę zagapiło się w czasie 10-godzinnej pracy? Nieopłacalny był zakup sortownika, dzieci taniej kosztują; to nic, że większość z nich umrze przed czasem. Wreszcie czy może o tym, że na budowie 6-piętrowej kamienicy zawalone rusztowanie grzebie 14 Chińczyków, a na ich miejsce czeka już nowych, głodnych czterestu, jednak aby być zatrudnionym, muszą wpierw uprzętnąć trupy poprzedników. Rzucają na riksze po kilka trupów i biegną 10 km za miasto, by je tam wyrzucić, a sami biegiem z powrotem, aby inni nie ubiegli ich w podjęciu pracy. Zaś trupy i tak zostaną pożarte przez świnie z psami do spółki. Wiele widziałem i wiele przeżyłem w tej mojej tułaczce po świecie. Miałem wtedy 27 lat, byłem zdrowy jak koń, silny jak byk i gdy w Szanghaju riksarz przyczepił się do mnie i prosił, abym pojechał z nim – to pojechałem do Polskiego Domu, jednak z wielkim niesmakiem i wstydem! Dałem mu dużo więcej centów, niż chciał, i uciekłem, a on stał i długo patrzył za mną. Chyba myślał, że jestem bardzo bogaty albo wariat. W końcu odjechał uśmiechnięty.

RODZINNY DOM

Teraz, gdy znalazłem się w domu rodzicielskim w Tarnopolu, wśród zupełnie innych warunków społecznych, wszystko to, co przeżyłem, wydało mi się koszmarem, widzianym może w jakimś złym śnie. Ale tam wtedy tak było.

W Tarnopolu 6 stycznia 1921 r. na ulicy spotkałem ojca. Ucałowaliśmy się serdecznie, a w domu z matką i bratem, który przyjechał z Magdalówki na święta. Ojciec tradycyjnie obchodził wilię rzymskokatolicką i grekokatolicką, która według starego kalendarza wypada 13 dni później. W naszej kamienicy na piętrze mieszkali wujostwo Jadwiga i Bronisław Kopczyńscy. Było dużo młodzieży i opowiadaniom nie było końca. Po świętach pojechałem z bratem do Magdalówki i pierwsze rozczarowanie. Dom wzniesiony, ale stajnie, stodoły

popalone, drzewa powycinane, tylko te dwie stare topole zostały na straży. Brat początkowo mieszkał na wsi, bo nowy dom jeszcze nie był wykończony. Potem w jednej połowie umieścił konie, a w drugiej, w dwóch izbach zamieszkał. Siostra, Maria Friedrichowa, była w tym czasie starościaną w Nisku nad Sanem. Ojciec kazał mi uszyć frak, ubranie, palto, bo za dwa tygodnie miała być wielka zabawa. Ojcu zależało na tym, abym był na tym balu, bo ja wciąż chciałem wyjechać do Ameryki. Papcio był chytry, wziął mnie na haczyk, mówił: Wstąp do banku, ożeń się, tyle masz kuzyneczek, ja wam pomogę, ale myśl wyjazdu do Ameryki ciągle mnie nurtowała.

W końcu nadszedł dzień zabawy. Frak gotów, matka przygotowała sztywną koszulę, ja jestem w trakcie ubierania się, mam na sobie kalesony i chcę wciągać spodnie, a tu drzwi otwierają się i widzę – jakaś okrągłutka dziewczynka z aureolką złotych włosów na główce. Zatrzasnąłem drzwi, narzuciłem prędko frak, włożyłem lakiery i idę przywitać się ze wszystkimi. Wciąż nie wiem, kto to był. Dopiero po chwili ojciec przedstawia mnie tej pannie i objaśnia, że to kochana Wisia Fedorowiczówna, córka Leopolda. Jej dziadek po ojcu – Antoni, a mój dziadek po matce – Alojzy Fedorowicz, byli rodzonymi braćmi. Jakoś dziwnie wpadła mi od razu w oko. Tymczasem trzpiotka coś nagadała, coś napaplała i już uciekła do Kopczyńskich na pierwsze piętro. Jeszcze dzisiaj widzę ją w tej sukience, jak w półukłonie wita się z rodzicami – całuję rączki, dobry wieczór, a potem widzę ją znów, jak uśmiechnięta wybiega z zapytaniem: Ale ty będziesz na zabawie?. A potem cudna zabawa w Sali Magistrackiej. No i walce! Wiśka tańczyła świetnie, a ja, jak ona mówiła, też dobrze. Z tobą najlepiej mi się tańczy. Zabawa minęła, a ja wpadłem. Na drugi dzień rano poszedłem do wujostwa Kopczyńskich, gdzie Wiśka coś grała na fortepianie, a grała pięknie. Spytała, czy ja coś śpiewam? Odpowiedziałem, że tak, więc spróbowałem. Ona grała bardzo dobrze, a ja śpiewałem różne romanse cygańskie. Patrzyliśmy się na siebie i kilka dni jej pobytu w Tarnopolu minęły jak chwila, a ja pafnięty na całego zostałem sam. Posłuchałem ojca i podjąłem pracę w Akcyjnym Banku Hipotetycznym. Zacząłem od praktyki we Lwowie. Ucieszyłem się bardzo, bo umówiliśmy się z Wiśką, że odwiedzę ją na ulicy św. Zofii 56 a, gdzie mieszkała z matką. Jej kuzynka Julia Kopczyńska od razu zorientowała się, że wpadłem, dlatego zwróciła uwagę Wiśce, która zawsze miała wielu galopantów, aby mi głowy nie kręciła. Jednak było już za późno. Pojechałem do Lwowa zupełnie bez głowy i przez trzy miesiące byłem codziennym gościem u cioci Stasi – matki Wiśki. Czas mijał szybko, 30 września musiałem wrócić do pracy w Tarnopolu. A 15 października była następna zabawa w magistracie i wtedy otrzymałem od niej oczekiwane słowo „tak”. Byłem zaręczony!

ZAŁOŻENIE RODZINY

Ojciec bał się mego wyjazdu do Ameryki, a wiedział, że ja z sercem nie wygram, dlatego ciągle powtarzał żeń się, na co będziesz czekał. Wiśka zerwała swoje zaręczyny z Kazikiem Pietkiewiczem i 22 lutego 1922 roku w kościele św. Zofii we Lwowie o 11 godzinie odbył się nasz cichy ślub. Po ślubie przeszliśmy przez szpaler jej 12 galopantów i po kilku dniach byliśmy już w Tarnopolu, w kamienicy rodziców przy ulicy Kościelnej. W następnym roku urodziła się nam córeczka Aleksandra. Lela – tak ją nazywaliśmy – kiedy była mała, często chorowała, ale potem wyrosła nam na piękną dziewczynkę. W 1924 roku zacząłem pracę we Lwowie, wpieryw w Polskiej Spółdzielni Kredytowej przy ulicy Skarbkowskiej 5, a po 2 latach w Banku Gospodarstwa Krajowego. Było nam bardzo ciężko, jednak nic nie mąciło naszego szczęścia. W 1927 roku urodził się nam Zbyszek z długimi czarnymi włosami i gdy miał dwie godziny życia, Lelusia dała mu kawałek szynki, która mu bardzo smakowała, bo ssał z zapałem.

W 1930 roku, w czasie mego urlopu, gdy byliśmy w Poznance, zmarł mój ojciec. Poczulem się osamotniony i zrozumiałem, że od teraz ja jestem głową mojej kochanej rodziny. Po roku przeniesiono mnie do banku w Poznaniu, następnie już sam przeniosłem się do Łucka. Tam mieszkaliśmy na Kolonii Oficerskiej w domku z dużym ogrodem. Było nam tam bardzo dobrze i trzy lata minęły nam szybko. Niestety oddział w Łucku zlikwidowano, a mnie przeniesiono do banku w Drohobyczu. Zostałem tam kierownikiem Działu Wekslowego, a w 1939 roku mianowano mnie pełnomocnikiem banku, ale nominacja utknęła w drodze.

PRZYPISY

¹ Jan Stanisław Cyganiewicz, pseud. Zbyszko (1880–1967), zawodowy zapaśnik, mistrz świata w walce klasycznej w 1906 i wolnoamerykańskiej w 1921 i 1925.

² Ofensywa podjęta w maju 1915 pod Gorlicami spowodowała przełamanie frontu rosyjskiego, wskutek tego władze carskie rozpoczęły ogólną ewakuację całych zakładów przemysłowych wraz z wszystkimi pracownikami, oszacowano na około 150 tys. wysiedlonych osób. Ponadto 50 tys. kolejarzy polskich oraz ponad 700 tys. chłopów wraz z ich rodzinami zostało wywiezionych w głąb Rosji.

³ Grigorij J. (1864–1916), mnich i awanturnik, faworyt carycy Aleksandry, doradca cara Mikołaja II, zamordowany przez grupę zamachowców monarchistycznych.

⁴ A. Kiereński (1881–1970), polityk rosyjski, minister wojny w rządzie koalicyjnym, jeden z inicjatorów i organizator krwawej akcji przeciw wystąpieniom rewolucyjnym w Piotrogradzie.

⁵ P. Nilukow (1859–1943), prof. historii, przewodniczący KC kadetów, jeden z inspiratorów kontrrewolucji.

⁶ M. Rodzianko (1859–1923), polityk rosyjski, przewodniczący Dumy, współorganizator kontrrewolucji.

⁷ Dobra królewska w 1549 król Zygmunt August nadał Baworowskiemu. Do 1939 jedna z najładniejszych rezydencji ziemskich na Podolu. 23 listopada, podczas pochówku Polaka zamordowanego przez banderowców, silna bojówka UPA napadła na uczestników pogrzebu, zabijając ok. 100 osób, w tym księdza Adama Drzyzgę.

⁸ Miasto nad Wołgą w europejskiej części Rosji, w latach 1935–1990 Kujbyszew.

⁹ Miasto nad rzeką Miass, dopływem Obu, jeden z największych ośrodków przemysłowych Uralu.

¹⁰ Miasto w azjatyckiej części Rosji, port nad Irtyszem, duży ośrodek przemysłowy Syberii.

¹¹ Miasto na wyżynie środkowosyberyjskiej, port nad Jenisejem, ważny węzeł komunikacyjny przy Kolei Transsyberyjskiej; w pobliżu największa w Rosji Krasnojarska Elektrownia Wodna.

¹² Miasto w azjatyckiej części Rosji, port nad Angarą, od XVIII wieku miejsce zsyłek. Duże zasługi zesłańców polskich dla rozwoju kultury i ekonomii miasta.

¹³ Ussuryjsk, do 1935 Nikolsk Usuryjski, później Woroszyłow, miasto na Dalekim Wschodzie w Kraju Nadmorskim nad rzeką Sujfun.

Ciąg dalszy w następnym numerze

Aleksander Świstun*
WSPOMNIENIA PODOLSKIE (3)
Moje prywatne sprawy

(Cracovia Leopolis, 2011, nr 3, s:18-23)

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

1 września rozpoczęła się wojna, a 17 dni później nastąpiła okupacja sowiecka. Pracowałem w Państwowym Banku Rosyjskim. Po prawie 5 miesiącach, w styczniu, zwolniono mnie za sabotaż, ale jaki to miał być, do dzisiaj nie domyślam się. Pracowałem uczciwie, a wyrzucono mnie. W marcu dostałem pracę tłumacza w Salinach, a po miesiącu w Kasie Oszczędności gdzie pracowałem aż do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej¹. W czasie okupacji niemieckiej pracowałem tam dalej, ale już w banku niemieckim i na głodowych warunkach. Potem przenieśliśmy się do Legienschaftu na zarządcę majątku Czyszki pod Lwowem, a dzieci pojechały do Włodka, do Pleśnej koło Tarnowa. Dyrektorem został jakiś Ukraińiec i gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, zwolnił mnie. Przenieśliśmy się wtedy do Krasówki², a następnie do leżącego obok majątku w Draganówce³. Mieszkaliśmy tam do listopada 1943 roku. W czasie mordów dokonywanych przez bandy UPA wyjechaliśmy do Pleśnej koło Tarnowa, gdzie mieszkał brat mój Włodek. Tam dostałem posadę kasjera w mleczarni.

W grudniu 1944 roku wkroczyli Rosjanie. Na Podolu zaczął się okres ponownej okupacji sowieckiej, następne represje i prześladowania NKWD, napady i mordowanie Polaków przez bandy spod znaku tryzuba, no i w końcu ekspatriacja ludności polskiej.

PO WOJNIE

W maju 1945 roku w Pleśnej zostałem dyrektorem w przedsiębiorstwie zajmującym się mieniem ponemieckim, a w lipcu zostałem powołany z powrotem do Banku Gospodarstwa Krajowego w Katowicach, zaś następnie przeniesiono mnie na stanowisko prokurenta do oddziału BGK w Wałbrzychu. W 1951 roku zwolniłem się, gdyż ówczesny dyrektor oddziału Czesław Fabian, którego w czasie okupacji niemieckiej ukrywałem u siebie, zaczął mną pomijać. Przenieśliśmy się do pracy w uzdrowisku w Szczawnie koło Wałbrzycha. Tu pracuję do chwili obecnej, tj. grudzień 1956 rok.

W tym miejscu Aleksander Świstun zakończył pierwszą część wspomnień wynikających z przeżyć ojca i swoich własnych. Określić je można, jako wspomnienia rodu autora „po mieczu”. Druga część wspomnień dotyczy przeżyć wynikających z kontaktów rodzinnych „po kądzieli”, czyli ze strony matki – Heleny Fedorowiczówny.

RODZINA FEDOROWICZÓW

Dzieje rodziny Fedorowiczów sięgają bardzo dawnych czasów, ale zacznę je opisywać od mego pradziadka Andrzeja. Pradziadek Andrzej Fedorowicz (1778–1855) mieszkał w Żerebkach koło Tarnopola. Był właścicielem wielu okolicznych majątków. Były to czasy napoleońskie. Gospodarowanie było intratne, a pradziadek głowę do interesów miał dobrą. W czasie napoleońskich wojen, od uciekających ziemian, za bezcen kupował sterty zboża i sprzedawał je z ogromnym zyskiem armii napoleońskiej, będącej w pochodzie na Rosję. Chociaż miał już kilka majątków, to w czasie wojny i później dokupił jeszcze kilka i w sumie miał około 30 tys. mórg ziemi, lasów itp. Był magnatem całą gębą. Miał córkę i czterech

synów, w tym Antoniego – dziadka Wiśki, i mego dziadka – Alojzego. Synom zostawił ładne majątki. Alojzy otrzymał Żerebki, Magdalówkę i Mytnicę – razem około 3900 mórg ziemi, w tym 600 mórg lasów. Antoni dostał Hałuszczyńce i Kokoszyńce razem około 3 tys. mórg. I tak każde z dzieci dostało wystarczającą ilość ziemi, która zapewniała im wytworne życie.

Mój dziadek Alojzy z Żerebek był dobrym gospodarzem, powszechnie szanowanym obywatelem, a nawet wybrany był marszałkiem powiatu skałackiego. Marszałkiem powiatu zostawał zawsze niezależny, bogaty i mądry człowiek. Urząd był bezpłatny, a wybierali go mieszkańcy powiatu. Marszałek był gospodarzem powiatu, pod którego opieką były szkoły wiejskie, gościńce powiatowe, mosty, szpitale. Dziadek był też bardzo gościnnie, założył orkiestrę w Skałacie. W owych czasach nie było radia ani gramofonów, a często odbywały się różne zjazdy, kuligi, wesela, imieniny, na które muzyków sprowadzać trzeba było aż z Tarnopola. W Skałacie była taka „echt” żydowska kapela, ale grała jedynie żydowskie kawałki. Dziadek mój jednego z członków tej kapeli (nazywał się Nusym) posłał na naukę muzyki, a potem na studia do Lwowa. Płacił na utrzymanie, a po paru latach sprowadził Nusyma do Skałatu i kazał mu założyć orkiestrę. Gdy dziadek usłyszał, jak gra ta nowa orkiestra, powiedział: Słuchaj, Nusym – jak długo ja będę żył i po mojej śmierci też, masz zawsze przyjeżdżać do Żerebek i w dzień wigilii grać kolędy. Jak pamięć moja sięga – Nusym zawsze w dzień wigilii stawiał się o piątej po południu ze swoją orkiestrą i cichutko zaczynał – W żłobie leży, a potem przez cały wieczór grał inne kolędy, których z zachwytem słuchaliśmy. Po śmierci dziadka i babki w Żerebkach został wuj Aloni (~~Alojzy~~) (Antoni), który musiał je sprzedać. Ale w dzień wigilii, gdy w domu był już tylko sam wujek, przyjechał Nusym i zagrał W żłobie leży. Kiedy wuj powiedział, że już nic nie ma i nie może mu zapłacić, Nusym ze łzami w oczach odrzekł: Pan marszałek tak mi kazał i to dla niego grałem! Ja nic nie chcę, zagram tylko W żłobie leży i wrócę do Skałatu. Więcej nie mam tu, po co przyjeżdżać. Zagrał, zapłakał i odjechał. Syn jego Dudio założył drugą orkiestrę w Podwołoczyskach, a wnuki byli znanymi muzykami. Wolfsztalówna to pierwsze skrzypce w orkiestrze operowej we Lwowie.

Żerebki! Wieleż to wspomnień z dzieciennych lat wiąże się z tą nazwą. Żerebki to wieś koło Skałatu, położona u stóp pasma górskiego Miodobry albo Toutry, które wznoszą się nad Płytą Podolską 80 do 100 metrów, a najwyższy szczyt ma wysokość 400 m n.p.m. Dawniej rosły tam wspaniałe dęby i lipy, stąd nazwa Miodobory. Potem, już za mojej pamięci, ziemianie ratując finanse wycinali lasy i pozostały tylko golinny, chociaż niektóre partie zachowały się jeszcze, zwłaszcza w okolicy Zbaraża i Grzymałowa. Skały wapienne potworzyły fantastyczne formy, liczne pieczary, a że przez te okolice wyznaczony był jeden z trzech głównych szlaków najazdów tatarskich, nazywany Czarnym Szlakiem, toteż w tych pieczarach natrafiano na duże ilości znalezisk ze średnich wieków.

Na przykład u dziadka w Żerebkach na Skałce pod ogromnym głazem była pieczara, do której wchodziło się na czworakach. Zaraz za wejściem była wykuta w kamieniu studnia głęboka na około 20 m i o średnicy 3 do 4 metrów. W sklepieniu nad otworem studni, po lewej stronie był otwór o takiej średnicy, że mężczyzna mógł wczołgać się tylko na brzuchu. Takim korytarzem trzeba było czołgać się ponad 4 metry i nagle otwierała się przestrzeń, sala o wysokości kilku metrów, szeroka około 6 do 10 metrów, i nie wiadomo jak długa? Mówią, że aż do zbarskiego zamku. Mój wuj, który tam wchodził, ze świeczką, szedł przez godzinę, ale wrócił, w obawie, że świeczka się wypali. Bał się wracać w ciemności, bo chociaż podłogę wyrównane ręką ludzką, zawałone było głazami. W jaskini tej wuj Włodzimierz Fedorowicz znalazł pudełko ze srebrnymi pieniążkami z wizerunkiem bogini orła z datami 1543 i 1569, kilka złotych talarów z trudno czytelnymi napisami oraz jakieś pordezwiąle miecze, topory,

kości zwierzęce, wszystko to widocznie z czasów, gdy ludność chowała się tam przed Tatarami. W ogóle pod Miodoborami często natrafiano na różne znaleziska, np. chłop w czasie orki za skibą wydobył kilkanaście złotych talarów polskich, a gliniany garnuszek rozbił lemieszem. Dziadek na folwarku stawiał ogrodzenie z kamienia, bo kamień był swój, darmowy i przy kopaniu fundamentów robotnicy natrafili na sklepienie z kamienia. Donieśli o tym dziadkowi. Dziadek popatrzył, podumał i powiedział: a może tam ktoś kiedyś został pochowany, nie ruszajmy go. I stare sklepienie, które może kryło jakieś historyczne pamiątki, zasypano. Na górze na skałkach były głazy wykute w kształcie ławek, a na dwóch głazach były wykute tabliczki, na których znajdował się jakiś napis nieznanymi literami.

Pewnego razu, gdy dziadek siedział na górze i patrzył jak w dole na łanie robotnicy siali i bronowali, przystąpił do niego jakiś Niemiec i zaproponował kupno tych tablic. Dziadek nie zgodził się, ale na drugi dzień rano już nie było ani Niemca, ani tablic. W ogóle widać, że historia toczyła się przez te stopy i znaczyła swą drogę „czarnym szlakiem tatarskim”, kopcami orientacyjnymi sypanymi na najwyższych miejscach w okolicy, aby z jednego kopca widać było drugi, z drugiego trzeci itd. Były to punkty orientacyjne dla czambułów tatarskich napadających lub powracających z napadów. Dużo też łez musiało być wylanych na tych ziemiach i dużo krwi przelanej, bo bławatków i maków nie brak po polach i miedzach. Wiele śladów tatarskich, być może dezerterskich, którzy zostali na tych ziemiach i zachowali swoje nazwiska, można znaleźć wśród chłopów pod Miodoborami, jak np. Kich, Mormol, Bachmaj, Czantaj i inni.

Ale nie tylko tatarskie ślady ta ziemia na sobie nosiła, niejedna zawierucha wojenna w Polsce rozgrywała się na tych bogatych „mlekiem i miodem płynących” ziemiach. Opowiadała mi matka o wydarzeniu, które może trochę koloryzowane, było w efekcie prawdziwe. Śniło się dziadkowi, że jakieś trzy postacie, raczej szkielety, proszą o pochówek ich na cmentarzu. Sen mara, dziadek nie reagował na to, ale gdy sen powtórzył się drugi i trzeci raz, dziadek zawołał dwóch chłopów i poszedł kopać w miejscu wskazanym we śnie. Po odrzuceniu kilku warstw ziemi, odkopali trzy skute szkielety, dobrze zachowane, jakiś hełm i kilkanaście pieniążków szwedzkich. Podejrzewano, że jeszcze w czasie Potopu (szwedzkiego) jacyś żołnierze aż tu zjechali, tu ich chłopci zatłukli, że to „niewierne Lutry”, i w rowie przy starym cmentarzu pochowali. Na cmentarzu tym nie było już śladu mogił ani żadnych krzyży, ale że ziemi było dosyć, a cmentarze u ludności były w poszanowaniu, miejsce to ogrodzono głębokimi fosami, aby było grobów nie paskudziło. Może to bajka – fantazja, ale faktem jest to, że wykopano trzy skute szkielety i pochowano je na cmentarzu, a pieniążki odesłano do muzeum we Lwowie.

Dziadek Alojzy z Żerebek dobrze gospodarował, dorobił się majątku, kochał przyrodę i mimo że miał na Miodoborach kilkaset morgów lasów, to jeszcze na gorszych gruntach sadził nowe lasy. Jeden z nich nazywany był Czołhańszczyzną, liczył około 20 ha i w tym lesie jeszcze ja zbierałem grzyby i maliny. Potem, po śmierci dziadka, synowie lasy wyrąbali, zostały gołe skały i gdzieniegdzie stare, pokrzywione dęby, które nie nadawały się na materiał do przeróbki, bo pełno było na nich guzów, narośli i sęków, które nie zachęcały do wycięcia ich nawet na opał. Zachowały się te stare dęby i świadczyły, że był tu kiedyś las, w którego cieniu grasowały wilki i dziki. Chłopi pługami podpychali się coraz wyżej, ale na skalnej ziemi zbierali tylko kiepski owsik, wreszcie pola te na pastwiska zamieniono, które spalone słońcem też nie przedstawiały żadnej wartości i tylko rude pasmo gór było widoczne ze znacznej odległości. Gdzieniegdzie zostały jeszcze resztki pięknych lasów, zwłaszcza na południu, koło Rasztowic⁴ za Oknem nad Zbruczem⁵. Tam Miodobory miały już charakter dzikich gór. Kompleks lasów mierzyło się na tysiące hektarów, a brak dróg nawet partie

prastarego lasu zachował. Przez te lasy prowadziła jedynie stara droga, którą wyrąbał Sobieski, gdy szedł na Kamieniec Podolski, a nawet zachował się most przez niego zbudowany i do dzisiaj używany. W górach, w bloku skalnym była wyrąbana chatka z kamienną pryczą, robiła na nas wrażenie, w niej przed wiekami żył pustelnik, a potem mniej świętobliwi jego naśladowcy. Ostatni z nich, który leczył ziołami i udzielał porad młodym, ładnym dziewczętom, jagody i korzonki zamieniał na śmietaną i kury.

W tych to lasach, w okolicy Rasztowic, z moim bratem byłem na jednym z polowań na dziki. Było to pod koniec lutego 1912 roku. Dzień był piękny, prawie wiosenny. Zboczami płynęły strugi wody, śniegu już prawie nie było, ptaszki śpiewały. Stanęliśmy na stanowiskach. W rogu miotu ja stałem, a 50 kroków obok, na linii stał mój brat, potem starosta rzeszotarski i inni myśliwi. Strzelać było wolno tylko do dzików i lisów. Z bratem mieliśmy dobre dubeltówki i oprócz tego manlichery myśliwskie. Po chwili ruszyła nagonka, a po paru minutach usłyszałem trzask łamanych gałęzi i z gęstwiny krzaków wysunęła się długa morda dzika. Przeczuałem, że jest ich więcej, ale nic nie widziałem prócz tego jednego ryja, który zza grubego dębowego pnia fukał, węszył i badał. Ścisnąłem swego manlichera i już w myśli widziałem tę jatkę, którą za chwilę razem z bratem sprawimy. Brat strzelał sprawnie, ja też nie najgorzej, ale dzik chyba mnie zwęszył, dość, że w sekundzie zawrócił i galopem ruszył wzdłuż linii. Słyszę strzał brata, ale nie z manlichera, potem strzelał starosta i Bortnik i po chwili widzę, jak w odległości około 200 metrów przez linię przeskakuje ogromny dzik, a za nim sypie cała chmara, mniejszych i większych warchlaków. Trwało to kilka sekund. Po minucie zapanowała cisza, nadal śpiewają ptaszki i jest wiosna! Schodzimy ze stanowisk. Okazało się, że wszyscy strzelali do największej sztuki. Brat zmienił manlichera na 16-calową dubeltówkę, a pozostali myśliwi strzelali 12-calowymi. Szukamy farby. Jest! I 100 kroków za linią leży ogromna samura. Oglądają i orzekają, że śmiertelna kula jest z szesnastki, więc przyznali memu bratu honorowe trofeum, bo upolowaną zwierzynę zabierał gospodarz. Ja w ogóle nie strzeliłem, jednak wrażenie zostało na całe życie. Ojciec, który nie był myśliwym, zawsze mówił: że też wam chce się jechać 50 kilometrów i albo zabić, albo nie zabić zająca, wołałbym kupić wam tego zająca niż męczyć siebie i konie. Jednak nigdy nie żałował na naboje czy na kupno broni, której mieliśmy cały skład, i to broni pierwszorzędnej, z lunetami, specjalnie ostrzelanej i z pedanterią pielęgnowanej.

Polowania te bardzo krytykował mój „zimny” dziadek Kazimierz Stopczyński, stary kawaler, brat mojej babki z Żerebek, doktor prawa i jak na owe czasy był bardzo mądrym człowiekiem. Był właścicielem majątku Dorofijówka nad Zbruczem, nigdy nie gospodarował, hodował tylko piękne konie, polował, dużo jadł i potrafił wypić morze wódki czy piwa. On to właśnie mówił, że jesteśmy tylko rzeźnikami, bo strzelamy po 100 zające, a dawniej... i opowiadał jak szło się do lasu, to każdy stawał na przesmykach, gajowi zapuszczali gończaki (psy), a myśliwi tymczasem schodzili się grupkami i dla rozgrzewki z rąk do rąk podawali sobie pełne manierki. A kiedy usłyszeli gon psów, to każdy leciał na swoje stanowisko. Wtedy sypał proch do lufy, potem konopne pakuły przybijał „pucztokiem”, z woreczka sypał miarkę śrutu, znów pakuły i kapiszonówka była gotowa do strzału. Dużo strzelali i w końcu tryumfalny okrzyk: Jest! Wtedy łapało się psy i całe towarzystwo schodziło się na jednego głębszego, na trupa. Biedny zajączek nawet nie przypuszczał wiele manierek wypito na jego cześć, a przy wypróżnianiu manierek opowiadano przeróżne historie. W tym czasie gajowi zapuszczali psy na nowe rewiry. Po kilku opolowanych rewirach, zabitych było 5 zające, czasem lis, ale za to nasłuchało się wiele dowcipów, opowiadań i w jakich humorach panowie wsiadali do sań. Wracało się do gościnnego gospodarza, gdzie myśliwych oczekiwały piękne panie i jeszcze piękniejsze zakąski i kolacyjki. To były polowania! Ej, chłopcy! – zwracał się

do nas – wy to jeszcze chłopcy, ale inni? Do mnie, gdy przyjeżdżało dziesięciu panów, to kupowało się 10 kg mięsa i 10 litrów wódki, a teraz na dziesięciu kilogramach mięsa i litr wódki za dużo. Co tu gadać, inne czasy były. Ale idę już modlić się – i przy tych słowach wstawał od stołu, podnosił opadające portki, bo schudł, a ważył około 130 kg i siedł do swego pokoju.

Jednak był dobrym politykiem, pogląd miał trzeźwy i w 1914 roku po bitwie nad Marną powiedział od razu: Niemcy wojnę przegrały, bo jeżeli całą potęgą ruszyli i nie wygrali Marny, to już koniec z nimi i Polska musi powstać, dlatego lżej mi będzie umierać. W 1915 roku zachorował, leżał w szpitalu w Skalacie, gdzie miał zapewnione miejsce. Gdy budowali szpital, dziadek ofiarował 10 tys. koron z zastrzeżeniem, że przyjmą go na leczenie za darmo i na tak długo, jak długo będzie trzeba. Po dwóch tygodniach spokojnie umarł i tam na cmentarzu w Skalacie został pochowany. Wieczorami dużo nam zawsze opowiadał: o moim dziadku z Żerebek i dziadku mojej żony Antonim z Hałuszczyniec, o różnych swoich przeżyciach oraz o epizodach, które charakteryzowały podolskich szlagonów (typowy przedstawiciel prowincjonalnej szlachty).

W czasie wybuchu I wojny światowej wtedy, gdy moja mama z siostrą wyjechały do Wiednia, ja z ojcem i bratem zostaliśmy w Poznaniu. Był tu stojący na pagórku nieduży, murowany dom, kryty blachą, a 50 metrów poniżej była oficyna, w której zazwyczaj mieszkaliśmy z bratem. Jednak dla bezpieczeństwa przenieśliśmy się do górnego domku, chociaż różnego kalibru broni mieliśmy bardzo dużo, dwa manlichery z lunetą, dubeltówki, sztucery, floberty itp. Jednego dnia po obiedzie, kilka dni po wybuchu wojny, zjawił się u nas brat babki Kazimierz Stopczyński, który z Podwołoczysk piechotą przyszedł do nas, a miał już wtedy 74 lata! Był wysoki, barczysty, czarny jak kruk, z ogromnymi faworytami i bardzo inteligentny. Całe życie spędził na swojej wsi Dorofijówce, w swojej bibliotece, nie bardzo zajmując się uprawą ziemi. Następnie sprzedał majątek, długi spłacił, a za resztę kupił domek w Podwołoczyskach i przeżywał swój skromny kapitalik. Ten to dziadek, gdy pierwsza potyczka miała miejsce nad granicą w Podwołoczyskach, wziął z piwnicy 5 glinianych gąsiorków z pitnym miodem po swoim dziadku, kufereczek z bielizną, wszystkie inne rzeczy pozostawił i przyszedł do nas. Ojciec bardzo ucieszył się, bo politykowaniu nie było końca, a że słowianofilami byli obaj, więc rozbijali Austrię i Niemcy, wskrzeszali Polskę, a losy wojny i zmienne koleje przeżywali całym sercem. Do ojca zwracał się konsyliarzu (przestarzały, dziś żartobliwie lekarz), a ojciec do niego wuju. Obaj ważyli po ponad 130 kilogramów, to nikt się nie dziwił, że w chwilach wolnych od polityki układali jadłospis na obiad. Wieczorami zaś, gdy wszyscy siedzieliśmy przy stole, opowiadał rodzinne epizody, miłostki, interesy, a że miał dar wymowy, to chętnie go słuchaliśmy. Pamiętam takie opowiadanie:

Dziadek mój lubił przyrodę, zimą karmił zające i sarny, nie tyle dla celów myśliwskich, ale raczej z ambicji dla podkreślenia, że w jego lasach jest dużo zwierzyny. Pewnego razu, gdy w słońcu siedział na ganku i palił fajkę na wiśniowym, długim co najmniej na pół metra cybuchu, przyszedł chłop i mówi: Sława Bohu, a dziadek odpowiada Sława na wiki i pyta, czego chce. Chłop wyciąga z worka małe sarniątko, dopiero co urodzone i prosi, aby dziadek dał mu na „mohorycz” tzn. na piwo. Dobrze, dobrze, chodź do mieszkania, a gdy chłop wszedł, zbił go tym cybuchem za to, że zabrał takie maleństwo, które jeszcze chodzić nie umie. Jednak po chwili pożałował chłopca, więc dał mu koronę i kazał odnieść sarniątko do lasu. Chłop był zadowolony, bo za koronę cały dzień musiałby pracować. Brat mojego dziadka Alojzego, a dziadek mojej żony – Antoni, także dobrze gospodarował, skromnie żył, ale miał swoje dziwactwa. Jednego roku zauważył, że ktoś systematycznie kradnie zboże ze stodoły, Mimo poszukiwań złodzieja nie znaleziono, a zboża w zasieku wciąż ubywało. Wówczas dziadek postanowił sam zadziałać. Schował się w krzaki koło stodoły i wkrótce

zauważył, jak ktoś ukląkł pod ścianą stodoły i przez mały otwór wysypuje do worka zboże. Dziadek po cichu wyszedł i z krzykiem skoczył na kark złodziejowi: Mam cię draniu! Złapany ukląkł na kolana i woła: Proszę wielmożnego pana, ja dla swoich dzieci, a mam tak jak wielmożny pan ośmioro, a teraz na przednówku głodują. Wtedy dziadek kazał mu schylić się, zarzucił mu worek na plecy i pokazał mu, którędy ma cicho iść, aby go stróż nocny nie złapał.

Pamiętam jeszcze jeden z tych licznych epizodów opowiadanych przez dziadka. Opowiadał, mój brat, świętej pamięci Piotr, był wyższy ode mnie o głowę i odpowiednio silny. Pewnego dnia zimą, ubrany w ciężki kozuch, jechał sańmi do Tarnopola. Szosy wtedy nie było, jeździło się polnymi drogami, a zimą drogami na przełaj. Droga wiodła przez lasy, w których było wiele wilków i dzików, a w dodatku liczne bandy rabusiów. Za wsią, za karczmą wyskakują rabusie z krzykiem Dawaj pieniądze! Piotr odpowiedział, że pieniądze ma w bluzie i musi zdjąć kozuch. Wylaź z sań, zdjął kozuch i futerko, został tylko w bluzie i jak nie wyróżnie jednego w pysk, ten w rowie wylądował, wyróżnął też drugiego, który też do rowu wpadł, trzeciemu wywinął rękę, a czwarty jak zobaczył, co się dzieje, to uciekł do lasu. Piotr ubrał się i już spokojnie dojechał do Tarnopola. Po kilku miesiącach wracał z jarmarku i znów banda opryszków zatrzymuje konie krzycząc: Dawaj pieniądze, ale w tym momencie jeden z poszkodowanych w zimie rabusiów poznał Piotra i zawołał: Uciekajcie chłopcy, to Petryk jedzie, a Piotr bez wypadku wrócił do domu. Ale to był mężczyzna – na obiad jadł kurę albo kilo mięsa, nie to, co dzisiejsi chłopcy. Tak zawsze kończył swoje opowiadania twierdząc, że kiedyś było inaczej.

O Piotrze opowiedział nam jeszcze jeden epizod, jak to pewnego razu końmi dwa dni jechał do Lwowa na karnawał. Kolei jeszcze nie było. Żelazna kolej zaczynała się dopiero od Lwowa w kierunku na Kraków. Po balu wracał przez lwowski rynek i koło jednej studni zatrzymuje go dwóch batiarów z pytaniem, która godzina. Piotr odpowiada, że druga w nocy. A oni na to – Pokaż, czy masz zegarek? Wtedy Piotr już nie czekał na nic, tylko złapał jednego i wrzucił do basenu, koło studni. Widząc to drugi batiar uciekł wołając: A niech ci dunder ściśnie. Tak to czasami siła fizyczna przydaje się, ale wtedy byli inni ludzie, nie to, co dzisiejsza młodzież. I tym sloganem, jak zwykle zakończył swoje opowiadanie.

PRZYPISY

¹ Niemiecki atak na Związek Radziecki bez wypowiedzenia wojny w dniu 22 czerwca 1941 roku był początkiem tzw. operacji „Barbarossa”

² Wieś w powiecie tarnopolskim, znana od 1565 roku, tu w kwietniu 1945 roku banderowcy zamordowali 4 Polki.

³ Wieś 4 km na południowy zachód od Tarnopola, do II wojny światowej w zdecydowanej większości zamieszkała przez Polaków, tu w 1945 roku zostało zamordowanych 8 Polaków bezpośrednio po kazaniu księdza greckokatolickiego Iwana Diducha, który denerwował się, że nic się we wsi nie dzieje, a powinno paść przynajmniej 100 Polaków

⁴ Wieś Rasztowice, tu urodziła się młodopolska poetka ze środowiska krakowskiego Kazimiera Zawistowska z domu Jasińska (1870–1902), pisała melancholijne wiersze, sławiące między innymi uroki podolskiego krajobrazu, publikowała pod pseud. Ira,

⁵ Wieś znana od 1440 roku, w 1850 roku majątek w Oknie nabył Jan Fedorowicz, działacz społeczny, uczestnik powstania listopadowego, później deputowany do wiedeńskiej Rady Państwa. Po Janie Fedorowiczu majątek objął jego syn Władysław (1845–1918).

* WYJAŚNIENIE DLA CZYTELNIKÓW

Stosowaliśmy dotąd nazwisko autora Wspomnień podolskich w wersji Świstuń. Zwrócono nam jednak uwagę, że prawidłowo brzmi ono Świstun. Od tego więc numeru stosujemy poprawną wersję.

Aleksander Świstun
WSPOMNIENIA PODOLSKIE (4)
Moje prywatne sprawy

(Cracovia Leopoldis, 2011, nr 4, s:21-26)

Babka z Żerebek miała ośmioro dzieci, cztery córki, w tym moją matkę i tyleż synów, a wśród nich dwóch moich ukochanych wujów – Włodzimierza i Bolesława. Wuj Włodzimierz wysoki, bardzo przystojny brunet, atletycznie zbudowany mężczyzna, służył we Wiedniu, w arystokratycznym pułku białych dragonów¹. Oficerowie tego pułku byli odkomenderowani na bale dworskie, cesarskie, gdzie stali pod ścianą, a różne młodsze i starsze arcyksiężniczki posyłały swoich adiutantów do wskazanych przez siebie delikwentów i kazały sobie prosić do tańca. Taka hiszpańska etykieta obowiązywała na dworze Habsburgów. Wuj wychowany na wsi, od dziecka świetnie jeździł konno, był nauczycielem jazdy w wiedeńskim instytucie konnej jazdy „Reitlehreinstitut”. Absolwenci tej uczelni rozjeżdżali się po całej Austrii i jako nauczyciele byli zatrudniani. Widziałem go nieraz jeżdżącego konno. Z surowego konia po godzinie musztry robił konia na pokaz. Wuj kupował sobie konie, jednak konie miał średnie, skromne środki nie pozwalały mu na zakup bardzo drogiego.

Brat stryjeczny Włodzimierza – Władysław Fedorowicz jedynak, syn **Adriana Jana**⁶ z Okna, magnat, mieszkał w pałacu i miał 10 tys. morgów ziemi oraz 4 tys. lasów, dał w prezencie Władysławowi wspaniałego konia, kupionego za niesłychaną, jak na owe czasy, cenę 4 tys. guldenów, tj. 2 tys. dolarów, aby ród Fedorowiczów mógł godnie reprezentować. Władysław Fedorowicz należał do Austriackiej Izby Panów², gdzie należeli świetnie prezentujący się, wybierani przez cesarza, przedstawiciele najwyższej arystokracji. Podarowany koń był rzeczywiście wspaniały, na wyścigach bywał pierwszy, na przeszkodzie też pierwszy, a w ogóle cudo! Pewnego razu, na polowanie wyjechał Cesarz Franciszek Józef (1830–1916), na wspaniałym, specjalnie ujeżdżonym koniu. Do cesarskiej asysty wybrano 10-ciu najlepszych na koniach oficerów, w tym wuja Włodzimierza. Cesarz jechał na przedzie, a za nim w odległości 10-ciu metrów oficerowie i pod żadnym warunkiem nie wolno było wyprzedzić Cesarza. Raptem wyskoczył lis, Cesarz wspiął konia i ruszył galopem za nim. Wówczas wuj poczuł, że koń jego zaczyna ponosić i mimo swej atletycznej siły nie jest w stanie zatrzymać go. Dopędził Cesarza, który oglądając się zdziwiony, co to za śmiałek tak blisko jedzie, ale zorientował się w sytuacji i wolno zatrzymał swego konia, a koń wuja leci dalej i dalej aż w pełnym galopie wpadł na podwórze koszarowe na przedmieściu Wiednia. Zatrzymał się dopiero w stajni przed żłobem i kiedy zmęczony zszedł z konia, nadjechał Cesarz ze świtą. Wszedł do stajni, poklepał konia i z miną znawcy powiedział „Dumkoller” (koń, który dostaje szału i jest nie do powstrzymania). Wszystko skończyło się dobrze, bez raportu karnego, a wieczorem na balu wuj był rozchwytywany przez różne arcyksiężniczki i musiał mniej lub bardziej udane odrośla rodu Habsburgów obtańcowywać. Temu nauczycielowi konnej jazdy też przytrafił się przykry wypadek. Wuj w 1910 roku przeniesiony został do Lwowa jako rotmistrz ułanów. I kiedy wracał z niedzielnego spaceru do domu, w centrum miasta, pod hotelem George’a, koń przestraszył się chmary wróbli, która raptem frunęła z pod kopyt. Koń skoczył w jedną stronę, a wuj zwałił się w drugą, wprost do kałuży. Publika zaśmiewała się, ale flegmatyk wuj, wstał poklepał konia po szyi, podał mu wyciągnięte z kieszeni kostki cukru i przy oklaskach widzów wsiadł na konia i odjechał dalej. Świadkowie tego zdarzenia spodziewali się, że wuj ze złością będzie ćwiczył konia, a nie takiego dżentelmeństwa. W 1939 roku wuj zginął tragicznie na Łyczakowskiej we Lwowie. Zaczepili go Rosjanie, wuj zaczął się z nimi szarpać, ale było ich kilku, obrabowali i pobili go tak dotkliwie, że po paru dniach w szpitalu zmarł.

Drugi wuj – Bolesław, był zupełnie innym typem człowieka. Kiedyś, gdy miał 7 lat przypatrywał się w Żerebkach jak chłopcy robili zapasy lodu na lato. Do głębokiej jamy, wykopanej w cieniu drzew, korytem zsuwano duże bryły lodu, a po napełnieniu jej, przykrywano grubą warstwą słomy. W ten sposób lód trzymał się całe lato. Jesienią jamę czyszczono, wyścielano gałęziami i w zimie wkładano nowy lód. Obaj wujowie Bolesław i Włodzimierz przyglądali się jak to się odbywa. Ich domowym nauczycielem był Ignacy Daszyński³, wówczas biedny student prawa lwowskiego uniwersytetu. Ignacy Daszyński, aby lepiej widzieć wszedł do koryta i zaglądał do środka lodowni. Wtedy Bolek i Włodzio chwycili bryłę lodu i spuścili po pochylni koryta. Bryła podcięła nogi nauczycielowi i była szalona frajda. Gdy dziadek dowiedział się o tym zdarzeniu, sprzął ich obu, a panu Daszyńskiemu kupił nowe spodnie. Wuj Bolesław po latach pokazywał mi ten długi cybuch, którym dostał lanie. Cybuch ten ustawiony na specjalnym stelażu, wraz z ukochaną własnej roboty laską i obok starej strzelby jednorurki nabijanej od góry, dla tradycji po śmierci dziadka, stał na honorowym miejscu. Strzelby tej nikt wcześniej nie ruszał, bo nie wiadano, czy w środku jest nabój z prochem czy nie. Była ona marzeniem każdego z nas – małych chłopców. Kiedyś jeden z kochanych wnuczków chwycił strzelbę i straszyl nią babcię, na co ona powiedziała, aby nie mierzył do niej, ale by strzelał sobie do pieca. Posłuszny wnuczek skierował długą jednorurkę w kierunku pieca, pociągnął za cyngiel, huknął strzał i piec rozleciał się na drobne kawałki. Babka zemdląła, wnuczek pchnięty siłą odrzutu upadł, a jednorurka z tryumfem dymiła po ostatnim swoim wystrzale.

W 1900 roku, kiedy miałem siedem lat, do Tarnopola przyjechał wuj Bolesław i kazał mi zwolnić się ze szkoły i jechać z nim do Żerebek. Poszedłem do dyrektora, pana Michałowskiego⁴ – dziadka prof. Kazimierza Michałowskiego⁵, sławnego archeologa z Warszawy i powiedziałem: „Wujcio Bolcio kazał mi zwolnić się i jechać do Żerebek”, a na to dyrektor „Aaaa – jak wujcio mówi, to trzeba słuchać wujcia, więc jedź”. Przygotowania do wyjazdu trwały krótko i po obiedzie wyjechaliśmy. Parą gniadych koni, zaprzężonych w porządne pólzorki (rodzaj uprzęży skórzanej lub parcianej) ciągnęły lekki żółty wózek i szybko minęliśmy Smykowce i za Borkami Wielkimi wjechaliśmy w gęsty las. Podolska gleba rozmiękła po wiosennych deszczach i pod górką w lesie konie znarowiły się i mimo razów batogiem, aż do złamania biczyska, konie nie chciały ruszyć dalej. Wuj wpadł w pasję i zawołał: „Michał, dawaj słomę”. Michał zeskoczył z wozu, zerwał snopek suchych traw i czeka. Wtedy wuj polecił podłożyć koniowi pod brzuch słomę, podpalić i szybko wskoczyć na wóz. Michał spełnił rozkaz wuja. Do dziś widzę wpierw ten żółty dymek, potem płomyk coraz większy i większy, poczuliśmy swąd spalonej sierści, koń przysiadł i wierzgnął, ale gdy go dobrze przypiekło skoczył, porwał wózek jak piórko i galopem nie tylko wjechaliśmy na górę, ale i dalej, na równej drodze długo wuj mocował się zanim zatrzymał rozhukane konie. Później, gdy tylko koń chciał znarowić się, wystarczyło wiecheć słomy położyć pod brzuch, a koń ze strachu ruszał jak szalony. Wieczorem dojechaliśmy do Żerebek. Wtedy gospodarował tam wuj Bolesław z babcią. Była jeszcze w domu najmłodsza ciocia Julia, więc ja opływałem we wszystko, bo byłem „hercpinkiel” babci. Stary służący Feliks zawsze rano dawał mi śniadanie, pyszną kawę i domowe bułki, a też spełniał moje chłopięce życzenia – sznurek, gwoździe, czy nożyk. Było mi tam bardzo dobrze, a chcąc jeszcze sprowadzić tam siostrę Mimą, napisałem kartkę: „Kochana Mimo, przyjedź koniecznie, babcia ma małe dziecko” i pomimo tak frapującej wiadomości dopiero za miesiąc, na Wielkanoc zobaczyłem się z rodzeństwem.

Wiosna była ciepła i piękna, po wielkanocnym śniadaniu całe liczne towarzystwo wyszło na ganek, a brat babci – dziadek Kazimierz Stopczyński, będąc „pod dobrą datą”, poszedł na wprost przez gazon do oficyn, gdzie w gościnnych pokojach spali mężczyźni. Po

drodze idąc zygzakiem potknął się i upadł. Ciocia Julia podbiegła chcąc swego wuja podnieść, ale dziadek Stopczyński ważył 130 kilogramów, więc 18-letnia Julia na darmo szarpała i próbowała go podnieść, pomimo uwag dziadka: „Nie podnoś mnie, nie natężaj się dziecko, ja jestem ciężki”. Ale uparta ciocia nadal szarpała. Skutek tej szarpaniny był do przewidzenia. Po świątecznym obżarstwie i piciu coś bardzo głośnego „wypnęło się” dziadkowi, który swoim basowym głosem powiedział: „Mówiłem ci dziecko, nie natężaj się, a nie chciałaś słuchać”. Ma się rozumieć całe towarzystwo w śmiech, a ciocia z okrzykiem: „To nie ja, to nie ja” uciekła zapłakana do swego pokoju.

Tego samego dnia, w pierwszy dzień Wielkanocy, przy wtórce dzwonów kościelnych, cichaczem porwałem flobert wuja, nabiłem kulą i z ganku do wróbla strzeliłem. Wróbel jak gruszka spadł z drzewa, a ja poleciałem do babci z tryumfem i zamiast spodziewanego zachwytu, babcia powiedziała: „Fe, przecież ten wróbelek także chciał żyć”. Zrobiło mi się żal, więc wykopaliśmy z siostrą piękną mogiłkę i uroczyście, w obecności księdza, którym był nasz brat, pochowaliśmy wróbelka.

Mój dziadek – Alojzy i Wiśki dziadek – Antoni mieli też brata ~~Jana⁶ Ariana. Jan Arian~~ Fedorowicz ~~był właścicielem majątku w Oknie koło Grzymałowa~~ miał dwóch synów Kazimierza i Tadeusza, ~~którym zostawił ogromny majątek~~. Starszy, Tadeusz, mieszkał w Klebanówce 10 km od Podwołoczysk⁷. Był świetnym gospodarzem. Natomiast Kaziuńcio był jednym z tych kawalerów, którzy posiadali szlachecką fantazję. U siebie w Szlachcicach koło Tarnopola, powystrzelał wszystkie koty, bo jak twierdził, lubił wiosną słuchać śpiewu słowików. Poza tym, dzielnie poprawiał rasę miejscową, a kochał się i to nie tylko kochał w swej bratowej, hrabiance z domu Pankratiew. Kochany Kazio był niezwykle przystojny, konno jeździł jak nikt, pięknie śpiewał, a na balach był wspaniałym aranżerem. Jedną figurę w mazurze zaaranżował: „Panowie czwórka na koniach!” I czterech panów pod wodzą Kazia konno wjechało na pierwsze piętro hotelu Puntscheta, a potem każdy pił szampana z pantofelka swej tancerki. Panny szalały za Kaziem, a Kazio nurzał się w szaleństwach młodości. Ale raz brat Tadeusz przyłapał go ze swoją żoną na gorącym uczynku. Odbyła się krótka rozmowa, a że Kazio swój majątek stracił, więc dostał coś na drogę i pojechał do Australii. Tadeusz ze względu na dzieci nie rozwiódł się z wiarołomną żoną. Mieszkali nadal pod jednym dachem, a sam z tym większym zapałem pracował. Był jednym z najlepszych gospodarzy. Dokupił dwa majątki. Stawiał piękne budynki, zbudował gorzelnię. A też był wzorem uczciwości i pracowitości.

Po kilku latach powrócił z Australii odmieniony Kazio, z obietnicą, że już nigdy więcej nie będzie widywać się z bratową. Osiadł we Lwowie, gdzie zaczął pracować jako inspektor hodowlany w Towarzystwie Kredytowym Ziemijskim. Napisał książkę – 42 dni okrętem z Australii do Europy. Pensję miał dobrą, a że stary nie był, więc i fantazja powoli wróciła. Żyła we Lwowie pani Stefania tertio voto Górka, która gdy pochowała trzeciego męża została jeszcze młodą, ponętną i bardzo bogatą wdówką. Nigdy nie była ładną, ale miała w sobie coś pikantnego. Można się o tym przekonać oglądając portret stryjenki Tefuni namalowany przez Witolda Pruszkowskiego. Portret ten eksponowany jest w krakowskim muzeum z napisem „Portret pani F”. Wkrótce Tefunia została panią Fedorowiczową i przyniosła Kaziowi w posagu kilka kamieni we Lwowie (na Chorążczyźnie, boczna ulicy Akademickiej), ładną gotówkę w banku oraz jeszcze ładniejszą biżuterię, a zwłaszcza parę butonów (kolczyki) niewidzianej przeze mnie wielkości i blasku. Były to brylanty o średnicy 1-go centymetra każdy o wspaniałym niebieskim odcieniu. Pewnego razu, gdy wujostwo przechodzili ulicą w Karlsbadzie⁸, jakiś opryszek nagłym ruchem wyrwał z ucha jeden kolczyk i zaczął uciekać, ale wujek Kazio złapał złodzieja, dał mu porządne lanie i oddał w

ręce policji. Uszko Tefuni zarosło, ale kolczyki nosiła już tylko od święta i nigdy na ulicy. Mieszkali przy ulicy Chorążczyzny w swojej kamienicy, gdzie mieli 5 pokoi: jadalny, salon, salonik Tefuni, sypialnię i gabinet wuja. Każdego roku tapicer wyklejał podłogi nowym zielonym sukniem, drapował firany, portiery itd. Malarze malowali ściany, a potem zawieszało się ogromne obrazy jej kuzyna Witolda Pruszkowskiego: „Wiosna”, „Pochód na Sybir”, „Spadająca gwiazda”, „Portret psa” oraz wiele innych. Płótna te po śmierci wujostwa oddane zostały do muzeum we Lwowie. Z wyjątkiem portretu wujenki Tefuni, gdzie są teraz pozostałe obrazy – nie wiem.

U wujostwa, co jakiś czas były urządzone przyjęcia, a ich nieodmienny porządek był taki: co najmniej dwa dni wcześniej przychodził lokaj Michał z biletem zapraszającym na sobotę. Szło się o piątą, oczywiście w gali. Michał zdejmował palta i otwierał drzwi do salonu. Tam bawiono się rozmową. Wiśka obowiązkowo musiała coś zagrać na wspaniałym Steinway’u, a ja śpiewać. Po komplementach, że mam bardzo dobry głos, że powinienem uczyć się i zostać śpiewakiem, Michał otwierał drzwi do jadalni z sakramentalnym „Podano do stołu”, a tu kawa z czekoladą, domowe bułeczki, wspaniały tort. Potem szło się do pokoju wuja i zasiadało się do labeta. Zawsze staraliśmy się, aby wuj wygrał choćby jednego czy dwa złote, bo gdy przegrywał to tracił humor. Natomiast, gdy wygrał, to w swoim gabinecie, na stojąco częstował cytrynówką sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. Musieliśmy też zachwycać się kotką, a wujenka zawsze mówiła nam, że małych kociaków nikomu nie oddałaby, ale nam da. Wymówić się nie było można, więc wracaliśmy do domu z kotkiem. Po jakimś czasie kotek gdzieś zniknął, a my byliśmy wolni. I znów kolejna wizyta, labet, zachwyty, stwierdzenie, że nikomu nie da, ale nam da i wracaliśmy do domu z nowym kotkiem. Jednak wszystko ma swój kres. Kiedy Tefunia szła do kuchni zadysponować obiad, upadła na progu i zanim kucharka ją podniosła, ona już nie żyła. Po 3-ch miesiącach zmarł też wuj, na jakieś zapalenie i tak miły dom przestał istnieć. Cały majątek odziedziczył syn – Sasza Fedorowicz.

Podole to piękny kraj, który mimo wielkiego ogólnego zacofania ludności, swoim pięknem przyciągał i przyciągał w swoje stopy, różnych rozbitków w tym też powstańców z 1831 i 1863 roku, uciekinierów politycznych z carskiej Rosji i wszystkich innych, którzy chcieli ukryć swoją polityczną czy narodową tożsamość. Jednym z takich był Piotr Dulski uczestnik powstania z 1831 roku. Miał majątki w Królestwie⁹, ale musiał uciekać z Rosji i tu w Małopolsce, był zarządca majątku, potem siedział na małej dzierżawce, gdzie usługiwała mu stara gosposia. Był kawalerem i dżentelmenem w każdym calu, świetnie tańczył, strzelał, pił, a przy tym był bardzo gościnnie, to też na spotkaniach u pana Dulskiego nie jedna butelczyna pękła, a zabawiano się za zwyczaj przez kilka dni z rzędu. Do wszystkich nowobogackich, którzy posługiwali się językiem francuskim, gdyż po polsku było nieelegancko, wysyłał wizytówki z napisem „Pierre Dulski”, a kiedy po nagłej chorobie zmarł, gosposia dała znać sąsiadom i w dzień pogrzebu cała okolica zjechała się, aby oddać ostatnią cześć zmarłemu. Goście hucznie zabawiali się w jadalnym pokoju, a w salonie na katafalku wśród zapalonych świeczek leżał pan Dulski. Dla pewności, aby się coś nie zapaliło, przy zwłokach siedziało czterech chłopów, którym aby przez cały czas czuwali, dano pieniądze i karty do gry. Jednak w nocy pan Dulski obudził się, bo okazało się, że był w letargu. Szybko zorientował się, co stało się, zlął cichutko z katafalku, czego rozgorączkowany grą chłopci nie zauważyli, stanął nad nimi i zapytał: „Komu szczęście sprzyja?” Wystraszeni chłopci przez okno wyskoczyli, a on otworzył drzwi do jadalni i stanął. Stojący we drzwiach umrzyk we fraku, zrobił niesamowite wrażenie i wtedy stypa zmieniła się w bal. Tańczono i pito trzy dni! Po latach Piotr Dulski umarł naprawdę, ale nie uwierzono mu – mówiono, że teraz też udaje. Takich wygnańców jak pan Dulski wielu było na Podolu.

Wżyli się w społeczeństwo i w drugim, czy trzecim pokoleniu zapominano gdzie są ich rodzinne strony.

Ale nie zawsze ta wieś była wesołą, zieloną oazą na Podolskim stepie. Szczególnie zimą, gdy śniegi zakryły miedze i drogi zasypały, inaczej kochane Podole wyglądało. Nikt z domu nie wyjeżdżał na noc, bo błędzenie po stepach, przy mrozie i wichurze nie było bezpieczne i nie należało do przyjemności. Każdego roku ktoś gdzieś zamarał wraz z końmi na śmierć. Już lekki wiaterek powodował ruch cząsteczek śniegu, który sunął i natychmiast zasypywał wszelki ślad. Nawet w księżycową noc nie można było swoim śladem wrócić, a jednolita biel śnieżnej pokrywy łudziła, nużyła i dezorientowała każdego. Czasem widoczny gdzieś daleko wielki czarny przedmiot okazywał się małą grudką ziemi wrzuconej przez kreta, a zeschnięty budył na miedzy wydawał się drzewem. Jeździło się wtedy małymi konikami, bo duże, ciężkie zapadały się w śniegu po brzuchy. Małe konie miały jeszcze dodatkową przewagę, że jako tamtejsza rasa z natury swojej, głowy trzymały nisko i swoje ślady węchem, jak psy rozpoznawały. Trzeba było wtedy lejce puścić wolno, a te pocziwe stworzenia zawsze gdzieś do ludzi trafiły. W taką to porę do mojego dziadka w sobotę przyjechał ksiądz na wista. Grali do późna i około północy ksiądz pożegnał się i swoimi sańmi, małymi konikami odjechał. Przy pożegnaniu furman chciał wyciągnąć żdźbła słomy z sań i zaczął coś mamrotać pod nosem. Ksiądz zorientował się, że to jakieś zabobony i nie pozwolił na żadne czary, i do woźnicy powiedział „nie wstyd ci Iwanie, przecież wiesz duchowną osobę” i odjechali. Tymczasem dziadek rozebrał się, położył się do łóżka i przy świeczce czytał książkę, aż tu raptem słyszy dzwonki sań. Ktoś zajeżdżał przed dom. Wyskakuje z łóżka, wybiega na ganek i patrzy, kto przyjechał? – Ksiądz, który przed pół godziną odjechał. „Panie marszałku, ten głupi Iwan zbłądził. Mamy 4 kilometry do domu, a on zbłądził, ale już jedziemy, dobranoc panie Marszałku”. I odjechali. Na dworze ciemna, grudniowa noc i gęste chmury na niebie. Dziadek wrócił do ciepłego pokoju, zgasił świece i zasnął. Po jakimś czasie znów zbudził go dźwięk „dżyń, dżyń”. Poznał, że to sanie księdza. Znów wychodzi na ganek, a wściekający się ksiądz mówi: „Taż to znów Żerebki, Marszałku proszę nie gniewać się, znów zbłądziliśmy. Ty głupi Iwanie, wyrzuć sobie te swoje trzy słomki, to może do domu trafimy”. Iwan z siedzenia wyciągnął, coś mamrotał pod nosem i z udobruchaną osobą duchowną, wywijając batem nad zmęczonymi konikami, odjechał. Jak się później okazało już bez przeszkód, dowiózł księdza do domu. Następnego dnia dziadek pojechał sprawdzić którędy to Iwan zbłądził z księdzem proboszczem. Okazało się, że koniki księdza kręciły się w kółko utartą w ciągu dnia drogą, którą parobcy wywozili nawóz na pole.

Innym razem, byłem już wtedy po maturze, mieliśmy polować w lasach pod Tarnopolem. Brat mój Włodzimierz, znany i zapalony myśliwy, był w tym czasie łowczym powiatu skałackiego. Brat miał przyjechać z Magdałówki swoimi końmi, a ja dojechałem z Tarnopola ze znajomymi. Czekamy i czekamy, aż w końcu doszliśmy do przekonania, że on nie przyjedzie, więc pojechaliśmy do lasów bez niego. Po skończonym polowaniu, gdy już siedzieliśmy w salonie u gościnnych państwa Romanowskich i omawialiśmy szczegóły dnia, jakieś sanie zajeżdżają pod ganek. Przyjechał mój brat, który od 7-mej rano błędził po stepach do godziny 4-tej po południu! Na 12-tu kilometrowej przestrzeni, w gęstej mgle po nocnej zadymce śniegowej. Ledwo żywe konie odstawiono do stajni, a my zostaliśmy na noc, bo strach było po nocy wracać. Takim potrafiło być nasze kochane Podole porą zimową, albo późną jesienią, gdy rozmokłe polne drogi niczym nie różniły się od pól zaoranych.

W styczniu 1907 roku, byłem wtedy w 4-tej gimnazjalnej, umarła moja babka z Żerebek. Pojechałem z rodzicami na pogrzeb. Zjazd był ogromny, samej rodziny było około 100 osób. Na cmentarzu grobowiec był już otwarty, więc podszedłem obejrzeć go z bliska.

Składał się z dwóch pomieszczeń. W jednym pochowany był już dziadek Alojzy i przygotowane miejsce dla babci, a w drugim znajdował się grób księdza Fedorowicza i jeszcze kilka starszych grobów. Starzy ludzie nie pamiętali, kiedy i kto ten grobowiec postawił. Obok była stara drewniana cerkiewka uznana za zabytek. Nową murowaną cerkiew postawiono w innym miejscu jednak tak, że grobowiec Fedorowiczów był pod wielkim ołtarzem. Zobaczyłem rozsypane trumny, z niektórych tylko próchno zostało. Widziałem tam rozsypane kości, czaszki, a u jakiejś babki dobrze zachowane długie włosy i kawałek czarnej, jedwabnej sukni oraz podeszwy bucików. To moje pierwsze, naoczne zetknięcie się ze śmiercią i jej skutkami wywarło na mnie wielkie wrażenie. Przecież Oni kiedyś wszyscy żyli, bawili i smucili się, pracowali, chorowali i nie!... Tylko garstka prochu została po nich. Może nie byli wielkimi, sławnymi, ale z pewnością byli to uczciwi ludzie, a życiem swoim na miarę swoich możliwości kładli podwaliny bytu narodu. Przetrwali, zostawili swoje potomstwo, które jak miliony innych cicho rozsypie się w proch. A prawnuki i praprawnuki coś niecoś będą wiedzieć o nich, ale nie dużo, bo wszystko mija chciało by się dodać – jak sen!

Materiał opracował i komentarzem opatrzył Henryk Kleinrok, tarnopolanin

Przypisy

¹ rodzaj piechoty dokonującej przemarsze na koniach

² Izba Wyższa w parlamencie Austrii od 1861–1918 r.

³ Ignacy Daszyński (1866–1936) pseud. Żegota, przywódca PPS, działacz II Międzynarodówki, wicepremier, marszałek sejmu, po przewrocie majowym w 1936 roku – przeciwnik

Józefa Piłsudskiego

⁴ Emil Michałowski (1891–1919), dyrektor CK Seminarium Nauczycielskiego w Tarnopolu, poseł do Sejmu galicyjskiego, od 1915 roku – burmistrz Tarnopola

⁵ Kazimierz Michałowski (1901–1981), egiptolog, historyk sztuki, prof. UW, członek PAN, dr h.c. Uniwersytetu w Cambridge i Strasburgu, kierownik wielu ekspedycji archeologicznych w Azji i Afryce

⁶ Jan Fedorowicz jako uczeń Jezuickiego Gimnazjum w Tarnopolu wraz z kilkoma kolegami, a było ich 18-tu, brał udział w Powstaniu Listopadowym w 1830/31. W 1848 roku za przynależność w latach 1838–41 do „tajnych związków” został aresztowany oraz umieszczony w austriackiej „Tabella Criminalis” z 1848 roku. W 1857 roku w znaczny sposób przyczynił się do wybudowania nowego szpitala w Tarnopolu

⁷ Podwołoczyska, dawniej nazywane Chlebanówka, tutaj 28 kwietnia 1831 roku generał Józef Dwernicki wraz ze swym korpusem – 712 oficerów i ponad 3,5 tys. żołnierzy, złożył broń przed austriackim generałem Fiodorem Rudigerem

⁸ Karlowe Wary – miasto w zachodnich Czechach, słynne zdrojowisko z gorącymi źródłami mineralnymi, osada założona przez Karola IV prawa miejskie w 1370 roku

⁹ Królestwo Kongresowe, Kongresówka 1815–1915, utworzona z ziem Księstwa Warszawskiego, po powstaniu listopadowym pod zaborem rosyjskim